Rok XV. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał II.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1909 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo" — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

U Ks. Ks. Misyonarzy na Stradomiu i na Kleparzu
są do nabycia:

KORONKI DROGI KRZYŻOWEJ

i Wiadomość o Koronce Drogi Krzyżowej

w cenie 70 hal. — Porto płaci kupujący.

Na liczne żądania wiernych, sprowadzają Ks. Ks. Misyonarze

Wodę z cudownej groty N. M. P. z Lourdes,

przez której pobożne użycie już tylu wiernych uzyskało zdrowie. Rozsyła się ją w litrowych butelkach w starannie opakowanych skrzynkach. Również można nabyć i Nowennę z opisem cudów N. M. P. w Lourdes.

NR 2

Zakończenie jubileuszu Lourdeńskiego.

Obchód jubileuszowy, który miał uczcić pięćdziesiątą rocznicę Zjawienia się Matki Boskiej na skałach Massabielskich, zakończył się dnia 11. lutego roku bieżącego. Łaski nieocenione, dobrodziejstwa przeobfite spłynęły znów ze stoków Pyrenejskich na świat cały; nieprzeliczone tłumy pątników spieszyły z różnych stron świata, aby u stóp Niepokalanej wynurzyć gorące prośby, a w potrzebach duszy i ciała znaleźć pokrzepienie i pomoc.

Z pomiędzy licznych pielgrzymek jedna zwłaszcza godna wzmianki. Jak z jednej strony wyraźnie nam wskazuje, czem jest dzisiaj Lourdes, tak z drugiej świadczy ona wymownie o nieustającej dobroci Serca Maryi Niepokalanej. Tą pielgrzymką, to pielgrzymka „cudownie uzdrowionych“.

Z rana dnia 22. sierpnia 1908 roku, o godzinie 9. odbyli uroczystą procesyę do kościoła różańcowego. Niesiono na czele chorągiew, darowaną przez hrabinę de la Selle. Widniały na niej krótkie, ale wymowne słowa: „Byliśmy chorzy, Marya Najświętsza orędowała, zostaliśmy uzdrowieni“. W zbitych szeregach postępowało potem przeszło trzystu cudownie uleczonych. Rozpoczynał pochód ten sam, którego matka p. Bonhorts 22. lutego 1858, a więc zaraz po pierwszem zjawieniu się Matki Boskiej, zanurzyła jako prawie już umierające dziecię w cudownej wodzie Lourdeńskiej. Pierwszy doznał cudownej mocy na sobie, bo wrócił zupełnie do zdrowia, pierwszy też szedł, aby po latach pięćdziesięciu dziękować za odebrane dobrodziejstwa. Potem postępowali O. Salvator Marya Lebranchu, Gargam i wielu innych. Łzy wdzięczności błyszczały im w oczach, a z serca

przepełnionego miłością brzmiało „Magnificat“. Przed portalem bazyliki różańcowej odprawiono pontyfikalne nabożeństwo. Wielki ten plac ledwo mógł pomieścić tłumy wiernych; zebrało się przeszło 70.000. osób.

Rzewniejszą i bardziej jeszcze wzruszającą była popołudniowa procesya z Najśw. Sakramentem. Posłuchajmy jak ją opisuje jeden ze współredaktorów paryskiego „Figaro“, p. Chinolle.

„Dzień wstawał pochmurny, zapowiadający deszcz i ulewę. Przypuszczałem przeto, że nie będzie żadnej uroczystości. Popołudniu równocześnie prawie, kiedy cudownie uzdrowieni opuszczali bazylikę, aby w uroczystej procesyi udać się do cudownej groty, otworzyły się upusty niebieskie i spadł deszcz tak ulewny, że po niejakim czasie rzeka Gave zaczęła wzbierać. Ta niepogoda wcale jednak nie wpłynęła na zmianę zapowiedzianych uroczystości. Choć wielka była ulewa, ruszył jednak pochód; panie bez parasolów, panowie z odkrytą głową. Każdy z 325 niósł chorągiewkę, a przy boku miał pięciu świadków wiarogodnych swego uzdrowienia. Korowód ten liczący przeszło 1500 osób posuwał się przez nieprzeliczone tłumy, które ze czcią patrzały na wybrańców Najśw. P. Maryi, a pochylając głowy razem z nimi wielbiły Niepokalaną Dziewicę.

„W pobliżu groty widać nienakrytą ambonę, z której O. Picard miał krótką przemowę. W imieniu wszystkich uzdrowionych zanosił rzewną podziękę Bogarodzicy. Pod koniec wezwał wszystkich, aby pamiętając o „najstarszej córce“ katolickiego Kościoła, co obecnie tak ciężko chorzeje, pomodlili się za nieszczęśliwą Francyę.

„Z ust piętnastu, czy nawet dwudziestu tysięcy osób — bo któżby ich mógł dokładnie policzyć — podniosła się potem pieśń rzewna i piękna. Rozlegała się po górach, dolinach, odbijała o gór szczyty, a potem złączyła sią w potężny akord, którego echo zabrzmiało aż u tronu Niebios Królowej. Ale pieśń tę rzewną przerywa nagle uroczyste „Magnificat“. Dreszcz zapału nieopisanego i dziwne wzru-

szenie ogarnia zastępy! Cud się stał! Z cudownej krynicy wychodzi uzdrowiona! Przyłącza się do szeregu cudownie uleczonych — procesya rusza dalej...

„Strugami lał deszcz, tak pisze wyżej wspomniany świadek, byłbym chętnie rozwarł parasol nad głową moją, ale nie miałem śmiałości. Jeżeli ludzie ze wszystkich stanów, wszelkiego wieku taką przejęci są wiarą i okazują ją na zewnątrz, to mają przecież prawo, by im okazać także szacunek. Obok mnie stoi oficer, krzyżem legii honorowej przyozdobiony — ocierał łzy z oczu płynące. Zobaczył mnie i zmieszał się. Te tylko krótkie słowa rzekł: „Czy wie Pan, dlaczego płaczę!? Nieszczęśliwym, bom niewierzący, a chciałbym wierzyć tak, jak oto ci ludzie."

Zanadto ważnym jest ten jubileusz w historyi Lourdes, by nie wspomnieć o cudach, jakie się stały w jego ostatnim dniu. Tak pisze naoczny świadek:

„Plac przed kościołem różańcowym był podobny do ogromnej nawy kościelnej, napełnionej wiernymi, po bokach liczne rzesze modlących się. Cały ten tłum przedstawiał imponujący widok, skupienia i porządku nie przerwano na moment. Prześpiewano „Tantum ergo", przy drzwiach wspaniałego portalu daje biskup błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. Podczas gdy Msgr. Bouvier odnosi monstrancyę do ołtarza, a drzwi zamykają się, występuje O. Picard i wśród głębokiego milczenia oznajmia, że na mocy danego mu przez Ojca św. przywileju udzieli błogosławieństwa papieskiego. Już zaczęto modlitwę na intencyę Ojca św. Z tysiąca przeszło ust tak świeckich, jako i zakonnych kapłanów wyrywa się pokorne „Confiteor" — zapowiedź skruszonego serca obecnych.

„Czcigodny Ojciec Picard, który całem swem zachowaniem przypomina Boskiego Mistrza zwraca się do czekających uzdrowienia i zachęca ich, aby obudzili w sobie i mieli taką samą wiarę, jaką mieli już uleczeni przez Matkę Boską. Przypomina im, że obecnie od ich to wiary zależy. Nastaje

chwila uroczysta! Jedni chorzy leżą prawie bez życia na wózkach; inni bezwładnie spoczywają na łożach!

„Lecz cóż się dzieje? Tłum cały pełen wyczekiwania patrzy tylko na chorych. Po dwóch, czy trzech minutach podnosi się po lewicy mojej w oddaleniu 3 czy 4 metrów pani — zaczyna się poruszać, opuszcza swe łoże! Kroki swe zwraca ku miejscu, gdzie co dopiero udzielano błogosławieństwa papieskiego. W niemem osłupieniu i z pewnem nawet niedowierzaniem patrzą wszyscy na nią, słychać oklaski. Ktoś zaczyna „Magnificat“, reszta pozostałych chorych podwaja tymczasem żarliwość w modlitwie. Po chwili podnosi się z tej samej strony dziewczynka dziewięcioletnia w niebieskich szatach. Zaledwo miała czas uporządkować odzież, która na niej w bezładzie leży, posłuszna głosowi wewnętrznemu, który jej rzekł: „Wstań, a chodź,“ spieszy na to samo miejsce! Po mojej lewicy znów wstaje prawie równocześnie dwunastoletnia dziewczynka, nie przyjmuje już pomocy tych, którzy chcą ją podtrzymywać i podpierać, tylko sama spieszy śladem swej poprzedniczki!

„Zapał już teraz nie ma granic. Zewsząd rozbrzmiewa wdzięczne „Magnificat“. Kordon, jaki posługacze i tragarze utworzyli naokoło chorych celem ochrony, został przerwany. Tłum wdziera się w to półkole; jedni cisną się do cudownie uleczonych, aby się przekonać o prawdziwości cudu; inni znów wypytują o szczegóły choroby. Inni natomiast spieszą do jeszcze nie uzdrowionych, klękają przy ich noszach, to ręce składają, to wyciągają ramiona i głośno modlą się z nieszczęśliwymi, by co rychlej doznać także miłosierdzia Najśw. Panny. Jedni odmawiają różaniec, drudzy z wdzięczności wezbranego serca nucą pieśń dziękczynną Maryi — a inni stoją nieruchomo, jakby przerażeni tem, co zaszło, i widzisz, jak cicha łza jedna po drugiej spływa z ich powieki. Posługacze torują tymczasem drogę dla uzdrowionych, strzegą ich przed zbyt wielką ciżbą.

„Liczba uzdrowień powiększa się. Widzisz w powietrzu laski i kule, któremi niedawno jeszcze podpierali się chorzy



Kościół i zakład Księży Misyonarzy w Nowej Wsi Narodowej.

i chromi; gdzieindziej znów spostrzegasz uleczonych, którzy łoże boleści i choroby swej niosą sami, chwaląc Przeczystą Maryę. Następuje nieopisany entuzyazm: „Magnificat“, „Chwała Ojcu!“, „Dzięki Ci, Boże!“, „Niech żyje nasza Matka Boska z Lourdes!“ — Słychać tylko nieopisaną mieszaninę głosów, śpiewu, wesela!...

* * *

I w naszym kraju przez te lat pięćdziesiąt rozszerzyło się bardzo nabożeństwo do Matki Boskiej z Lourdes. Zna u nas dzisiaj każdy Niepokalaną Dziewicę z Lourdes; młody i stary śpiewa: „Po górach, dolinach“, a iluż chorych i cierpiących doznało cudownej mocy wody Lourdeńskiej!

Bez przesady można powiedzieć, że nie małą to zasługą obydwóch rodzin św. Wincentego a Paulo. Pierwszym jednak, co dał impuls do tego nabożeństwa, to zmarły ś. p. ksiądz Wizytator Soubieille.

Dobiega 43 rok, jak przybył z Francyi do Polski. A przybył z gorącą miłością ludu naszego, ale z gorętszem jeszcze nabożeństwem do Matki Boskiej z Lourdes. Nad ludem wiejskim gorliwie pracować, a pomiędzy nim ciągle szerzyć do Maryi Przenajświętszej nabożeństwo to z pośród licznych, a trudnych zajęć, zajęcie jego najmilsze!

W nowobudującym się kościółku Zgromadzenia na Kleparzu osobny ołtarz przeznacza Niepokalanej z Lourdes; sprowadza Jej figurę i umieszcza tamże. U stóp Przeczystej Panny szuka pociechy w zawodach, tam czerpie moc i siłę w mozolnych pracach. Po całodziennej pracy widziano go przy ołtarzu Matki Boskiej, a zrana zastawano go tamże.

Był na chórku kościoła kleparskiego (dziś jest w kaplicy seminaryjnej) ołtarzyk także Przenajśw. Matce Lourdeńskiej poświęcony, a w nim Jej figura; na szyi Matki Boskiej wisiało serce małe srebrne. W tem to sercu znaleziono niegdyś Zgromadzenie całe spisane na kartce. To ś. p. ks. Wizytator w ten sposób polecił siebie wraz z całą rodziną opiece Maryi Niepokalanej! To też nic dziwnego, że opie-

kuje się Ona spuścizną nieboszczyka i ciągle daje nam dowody tej opieki i miłości!

Za rządów to ks. Soubieille'a zaczęto sprowadzać znaną wszystkim cudowną wodę z Lourdes. — W pierwszych rocznikach znanego krakowskiego pisma humorystycznego z przed lat trzydziestu można jeszcze dziś czytać, jak prawie w każdym numerze drwi ze ś. p. ks. Soubieille'a, drwi i wyśmiewa cudowną wodę z Francyi.

Drwiny te i szyderstwa wszakże nie zmroziły bynajmniej jego nabożeństwa do Matki Boskiej Lourdeńskiej! Owszem jeszcze bardziej Go w niem utwierdzają... Zamyśla wznieść pod Jej wezwaniem pierwszą świątynię w Polsce. Po niemałych kłopotach i zabiegach wielu, zamiar ten doprowadza do skutku. Staje świątynia obszerna i piękna w Nowej Wsi Narodowej pod wezwaniem Matki Boskiej z Lourdes.

Przy ołtarzu Niepokalanej na Kleparzu zaczął się obecny jubileusz Matki Boskiej z Lourdes ; w kościele Jej czci poświęconym zakończył się uroczystem tryduum w dniu 9, 10, 11. lutego bieżącego roku.

Świątynia pięknie przystrojona, a zwłaszcza prezbiteryum i ołtarz główny ze statuą Matki Boskiej.

Kilka wieńców zwieszało się z góry, co jakoby na kształt korony zielonej zdobiły głowę Niepokalanej Dziewicy. Po prawej stronie ołtarza wielkiego chorągiewka niebieska ze złotemi literami: „O Maryo, bez grzechu poczęta!“ Po lewej stronie biała chorągiewka, a niej napis: „Witaj, święta i poczęta niepokalanie!“ Pomiędzy wieńcami zielonymi widniała niebieska wstęga ze słowami: „Ja jestem Niepokalane Poczęcie!“ Reszta kościoła przyozdobiona festonami biało - niebieskimi.

Wieczorem 8. lutego o godzinie 6 rozpoczęto uroczystości jubileuszowe. Na ambonę wszedł ks. Szymbor i wziąwszy za temat słowa: „Witaj, święta i poczęta niepokalanie, Matko miłosierdzia“ wygłosił wstępną naukę. Witał Matkę Boską w Lourdes zjawioną, potem w Polsce i w tym kościele czczoną. Zawsze ona pełna miłosierdzia, ale okaże się szczególniej Matką miłosierdzia przez te trzy dni. Zachęcał rze-

wnemi i gorącemi słowy do jak najliczniejszego udziału. Uroczystą procesyą zakończył się wstęp do trzechdniowej uroczystości.

Codziennie była zrana o $5^1/_2$ uroczysta śpiewana msza św., o godz. 8. wotywa, o 10. suma z kazaniem. Popołudniu o godz. 6. nieszpory uroczyste z kazaniem i procesyą. Przez wszystkie dni było wystawienie Najśw. Sakramentu.

Słowa pierwszego kaznodziei nie pozostały bez skutku. Na rannej mszy św. kościół był pełny, choć to dni powszednie, a ludność tutejsza pracuje przeważnie po fabrykach. Na sumie znów było można widzieć tych wszystkich, którzy nie zajęci po fabrykach lub warsztatach pozostawali w domu. Byli między nimi tacy, co kilka razy tylko do roku, mianowicie na Wielkanoc i Boże Narodzenie tylko zaglądali do kościoła; w czasie tryduum widziałeś ich codzień. Przychodzili nawet z dalszych okolic. W przedsionku zauważyłem dziadka pewnego, który aż ze Zwierzyńca przychodził codziennie. Zdziwiony zapytałem, dlaczego aż z tak daleka się trudzi. „Cegłym nosił, powiada, na kościół Matki Boskiej tutejszy; dzisiaj już osłabiony i stary nie mogę cegieł nosić, za to tylko „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Maryo!“ mogę jeszcze zanosić przed stopy Matki Boskiej, a tak zżyłem się z tutejszą Matuchną, że choć daleko i droga ciężka, to jednak tutaj wolę przyjść, bo mi się tu modli najlepiej“. Na wieczornych nabożeństwach był zawsze kościół przepełniony. Rzewną była zwłaszcza wstępna procesya na nieszporach. Kiedy z setek piersi wyrwało się „Po górach, dolinach“, a dzwony rozgłośnie zagrzmiały i Pan Jezus ukazał się w monstrancyi, widzieć było można w niejednem oku łzę wzruszenia i wdzięczności. I zdawało się, że chyba prawdą jest to, co lud ten zbałamucony przez fałszywych apostołów mówi: „Ja kocham Matkę Boską, Pana Jezusa też“. Zniknęła u nas obawa i troska, czy warto urządzać jubileusz, „bo może nie będzie dla kogo?“ Oczom nie chciało się wierzyć, mimowoli nasuwały się słowa, iż „wielkie rzeczy potrafi uczynić przez Maryę Najśw. ten, co możny jest“.



Wielki ołtarz w kościele N. M. P. Lourdeńskiej
w Nowej Wsi Narodowej.

Ruszył lud przedewszystkiem do Sakramentów św. Każdy chciał się wyspowiadać, wszyscy zyskać odpust. To też pełno ludzi było z rana koło konfesyonałów, a wieczorem były konfesyonały w oblężeniu.

Jak w późny letni wieczór do światła biegną ćmy w wielkiej liczbie, tak też to światło jubileuszowe zwabiło niejedną ćmę duchowną. Byli tacy, co już od lat wielu nie znali drogi do kościoła, żyli w niezgodzie z Panem Bogiem i ze sobą samymi, a oto przychodzą, mówiąc: „Ja bardzo jestem kontent, że jest ten jubileusz Matki Boskiej, bo podobno wszystko można naprawić, a ja taki grzesznik!“ I czuło się, że jest jeszcze u tego ludu wielka ufność w miłosierdzie Dziewicy Maryi.

Nietylko gorliwość się obudziła pomiędzy tutejszą ludnością, ale i podziwienia godna ofiarność. Choć to „naród biedny i robotniczy“, jak sam siebie nazywa, i z tego tylko żyje, co po fabrykach lub w inny sposób zarobi, były jednak osoby, co po 20 koron przynosiły dla Matki Boskiej na ołtarz. Inni mniej lub więcej, na ile kogo stać było. Były także rzewne przykłady ofiarności i tak: wieśniaczka z Bronowic przyniosła na jubileusz kurę, to znów z Mydlnik wieśniak znaczną ilość jaj, a kto pieniędzy lub innych darów nie miał, ten ofiarował Matce Boskiej swe ręce, pracę, aby przyczynić się do przyozdobienia świątyni. Pewna osoba z Krowodrzy ofiarowała lilie złote na ozdobę ołtarza Matki Boskiej, wartości najmniej 60 koron. Członkowie Arcybractwa Serca Jezusowego piękne świeczniki za 100 koron. Ks. Dyrektor Małego Seminaryum razem z wychowankami złożyli się na piękny dywan. — Bywali i tacy, którzy opuszczali pracę, aby adorować wystawionego P. Jezusa i asystować Mu w czasie sumy i nieszporów w brackich ubraniach. W zakrystyi widziałeś raz po raz chorych śpieszących po odbytej spowiedzi św. po wodę z Lourdes i mówiących, że „jak Pan Bóg za przyczyną Matki Najśw. nie pomoże, to tem mniej jeszcze lekarze“.

Pierwszy i drugi dzień tryduum minął. Kazanie na przemian prawili Konfratrzy z tutejszego domu. Z celebrą po-

spieszyli Konfratrzy dwu domów krakowskich, a jeden nawet z Tarnowa. Ks. Kanonik Michalik, proboszcz ze Zielonek, życzliwy przyjaciel domu naszego, miał w jednym wotywę, w drugim sumę.

Główna uroczystość przypadła w dniu trzecim. Wotywę odprawił w tym dniu ks. Wiencek, asystent domu. Ze sumą przybył Najprzewielebniejszy ks. Biskup Nowak. Najpierw bierzmował dość długi szereg wychowanków Małego Seminaryum i wiernych. Przed udzieleniem tego Sakramentu przemówił podniosłemi słowy: „Od lat kilku rok rocznie przybywam do Was, Najmilsi, w tym dniu, by na cześć Maryi Przeczystej odprawiać bezkrwawą ofiarę. Macie kościół czci Maryi poświęcony wśród siebie! Okazujcie Jej cześć i przywiązanie. Gromadźcie się w Jej świątyni zawsze jak najliczniej, by tutaj uczyć się Pana Boga znać i kochać. Przyprowadzajcie dzieci Wasze do stóp Niepokalanej, by nie szły za głosami fałszywych i przewrotnych nauczycieli. Tu pod Jej troskliwem okiem niech się uczą prawd wiecznych".

Wyszła suma pontyfikalna. Chór kleryków ze Stradomia przyczynił się do uświetnienia uroczystości wzniosłym i pięknym śpiewem. Kościół był przepełniony. Kazanie powiedział na sumie ks. Mateusz Jeż, katecheta gimnazyalny. W sposób prosty, a przystępny przedstawił historyę zjawienia się Matki Boskiej w Lourdes. Potem mówił o czci tejże Matki Przenajśw. w Polsce, wykazując, że pierwsza to świątynia Matce Lourdeńskiej na polskiej ziemi zbudowana i że kult Jej dziwnie prędko się rozszerzał. Czuło się, że mówi to świadek naoczny cudów zdziałanych w Lourdes, który na to wszystko, co mówi, patrzał.

Nieszpory odprawił ks. prałat Krupiński, kanonik kapituły krakowskiej, a dawny proboszcz tutejszej parafii. Kazanie wygłosił ks. Rzymełka misyonarz. Przedstawił licznie zgromadzonym, że „znał dawniej Kraków Łobzowian i mieszkańców Krowodrzy i Nowej-Wsi jako gorliwych chrześcijan i szczerych czcicieli Maryi! Chwalili Pannę Przeczystą i w domu Godzinkami i publicznie procesyami. Pod cho-

rągwią Maryi widziano ich pierwszych zawsze. Dzisiaj inną pieśń mają, dziś pod inny zaciągnęli się sztandar!...“ Gorąco nawoływał do dawnej czci i pobożności względem Polski Królowej. Uroczystą procesyą i dziękczynnem „Te Deum“ zakończyły się uroczystości jubileuszowe.

Nie minęły one bez wzruszenia wielkiego i trwałego pożytku. Przynosili ludzie tutejsi Matce Boskiej piękne i żywe kwiaty, ale kwiaty te rychło zwiędniały i poschły. Wieńcem jednakże niezżółkłym i nie więdniejącym to gorliwość większa jeszcze w nabożeństwie ku Maryi Przeczystej i w uczęszczaniu i przywiązaniu do Jej świątyni!

Z Parany.

Lucena.

List ks. Kominka z 23. lutego b. r.

Choć kilka słów chcę napisać z naszej Luceny. Dzięki Panu Bogu cieszymy się obydwaj zdrowiem; chociaż więc czasem pracy jak na dwóch aż za wiele, to jednak jakoś idzie. Ks. Stawianowski zaraz od pierwszej chwili przybycia na Lucenę, zaaklimatyzował się całkiem i wcale o kraju nawet nie wspomina.

Dzięki Bogu mamy spokój w naszej parafii; my pracujemy, ile i jak możemy ze swej strony, to też w parafii zadowolenie. Tylko Ukraina wciąż na stopie wojennej. Spór o kaplicę na Moëmie nietylko nie ucichł, ale przeciwnie jeszcze bardziej rozogniony.

Szarańczy tego roku mamy okropnie wiele; niszczy, co się tylko da. Kilka kolonii do szczętu zmarnowanych, a gdzie nie było szarańczy, tam zniszczył grad (na 20 cm. grubości). Żyta zgniły na deszczu, a teraz fiżony niszczeją— tak, że rok ten zapowiada się bardzo źle. Ceny zboża, np. żyta, fiżonu, kukurudzy, idą wciąż w górę.

Sprawa indyjska znowu odżyła. Mniej więcej w październiku zeszłego roku napadli na Moëmie w lasach na parę rodzin brazylijskich tam zamieszkałych. Brazylianie bronili się zaciekle i po kilkogodzinnej potyczce odparli ich ze stratą trzech Indyan. Było ich wszystkich do 200 osób, dowodził nimi Kapitao z pokolenia Guaraní. Znany on jest od dawna ze swej odwagi i sprytu i ogromnie wielkich stóp. Pierwszy raz został on odparty i to ze stratą, nie może tego przeboleć. Przed paru tygodniami znowu cała grupa ukazała się

na kolonii Moëmia, zabrali kilka sztuk bydła i uszli. Poszło za nim 20 ludzi w pogoń aż do rzeki Itajahy, ale musieli się cofnąć. Również od Blumenau idzie 40 chłopów, na koszt towarzystwa w pogoń za Bugrami, mają dojść aż do góry Tajo, a od Rio Preta idzie druga grupa, koło 20 ludzi, mająca dotrzeć aż do Santa Cruz. Biedni Indyanie! wszędzie ich prześladują i polują na nich, jak na zwierza.

Od paru miesięcy stan Santa Catharina odłączony od Parany stanowi osobną dyecezyę. Biskupem jest ks. Becker, brazylianin, pochodzący z dawnej rodziny niemieckiej.

Byłem pewien, że nareszcie Rio Vermelho zostanie od nas odłączone i oddane niemieckiem księżom z Sao Benta; byłem tego tak pewien, że nawet nie posłałem po Provisao z początkiem roku. Wermeliacy kilka zazy prosili, aby ich nie opuszczać, i pisali w tej sprawie do ks. Biskupa.

Oświadczyli, że do Sao Benta nie chcą należeć, tylko do Luceny. Z początkiem lutego b. r. odbył ks. Biskup Becker wizytacyę w Sao Bencie i na Rio Vermelho, zbadał całą sprawę. Przyrzekł Wermeliakom, że uczyni zadość ich prośbie. Przed trzema dniami otrzymałem z Rio Vermelho list z zawiadomieniem, że nie tylko Rio Vermelho, ale wszystkie poblizkie kolonie polskie oddał nam ks. Biskup, tak, że księża niemieccy nic nie mają do nas. Papiery dla nas mają być złożone na Rio Vermelho u jednego z komitetowych. Podobno oświadczył ks. Biskup, że szczególną pieczą otoczy Polaków i postara im się o księży polskich, a nigdy nie odda ich księżom niemieckim, bo o nich nie dbają; kazał nawet, żeby Wermeliacy napisali po ks. Wyszyńskiego do północnej Ameryki, oświadczając, że go chętnie przyjmie do swej dyecezyi, bo polskich księży potrzebuje. Jestem pewien, że ks. Wyszyński, choć obecnie jest spirytualnym od trzech miesięcy w Detroit i dyrektorem kolonizacyi polskiej w Środkowej Ameryce, powróci zaraz na Wermel; wtedybyśmy byli wolni od wszystkiego. Ale nie wiem, co zrobić, w razie gdyby nie powrócił, bo jestem pewien, że wtedy ks. Biskup będzie nam chciał na stałe oddać parafię Rio Vermelho, w połą-

czeniu z Campo Alegre, Wenkinią i Bateas i wszystkich okolicznych Polaków. Oddawna się o to starają, a podobno ks. Biskup ma taki sam zamiar. Jeżeliby przyjechał ks. Wyszyński, toby on to objął. Ale jeżeli nie powróci, to w takim razie nie wiem, jak zrobić.

Obecnie nasi księża konfratrzy przy Kurytybie zajęci, bo w tych dniach ma być misya na Araukaryi. I nam pracy nie brak; spowiedź wielkanocna się rozpoczęła; nie tylko z naszej parafii, ale także Polacy z okolicznych parafii przybywają do nas, bo tu nigdzie niema polskiego księdza. Najbliższy ks. Anusz z jednej strony, a Rio Claro z drugiej. Najwięcej pracy dają nam katechizacye: przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św. Ośm szkół co tygodnia — a obecnie drogi nie do przebycia, mosty pozrywane. Ale przy zdrowiu i łasce Bożej we dwóch jakoś podołamy.

Abranches.

List ks. Wróbla z 10. marca b. r.

Praca parafialna i w szkołach po koloniach idzie torem w początkach naszego osiedlenia się w Abranches założonym. Lud z przybyciem Ks. Ks. Misyonarzy więcej garnie się do Boga i kościoła, bo Pan Jezus głoszony usty Misyonarza dziwnie chwyta go i wiąże z sobą. Zaczynem, który porusza i potęguje tę miłość Bożą w sercu ludu naszego, jest niezawodnie nasza Matka Najświętsza, która skupiła koło siebie już sporą garstkę dzieci sobie oddanych, a których zadaniem jest: cnoty nabyte w szkole Mistrzyni swojej rozkrzewiać w ogniskach rodzinnych.

Błogie i zbawienne owoce stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ każdego uderzają i rugują wszelkie niechęci, jakie pojawiły się w niektórych duszach w początkach jego założenia. Sam byłem świadkiem tego i na własne słyszałem uszy o tem razu pewnego na uczcie weselnej u jednego z kolonistów; — obecny tam nasz sąsiad podszepnął mi: „Widzi ksiądz, jaką skromnością odbijają „Dzieci Maryi“ od innych— to skutek wychowania naszych Sióstr“. Coś podobnego

usłyszeć jest prawdziwą pociechą. I nietylko ten jeden tak twierdził, ale głoszą to wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli sposobność przypatrzeć się zachowaniu się ich przy pierwszej lepszej okoliczności. Nierównie donoślejszym czynnikiem, oddziałującym na duchową stronę kolonistów naszych jest wspólna miesięczna Komunia św. „Dzieci Maryi". Dwa razy już mieli koloniści sposobność przypatrzeć się tej rzeszy Maryi, przystępującej do Stołu Pańskiego; a to zachęca ich samych do częstszego przyjmowania Komunii św. i ujmuje ich serca tak, że każdy pragnie widzieć swe córki, wplecione w żywy wieniec, okalający stopy naszej Matki ukochanej. Szczycą się tem oni, a świętą uniesieni dumą przechwalają się, że w całej Paranie nie można widzieć nic tak pięknego, wzniosłego, zbożnego, tylko na kolonii Abranches. Radziby byli, żeby i młodzieńców zrzeszyć w podobne stowarzyszenie, o czem naprawdę też myślimy. Nie wiem tylko, pod jakiem wezwaniem i w jakie uchwycić je ramy, któreby się dostrajały do ich poziomu umysłowego i do stosunków tutejszych. Najlepiej byłoby jeszcze założyć stowarzyszenie w duchu narodowym, gdyż w młodszem pokoleniu, wskutek ustawicznego stykania się z Brazylianami, przejawia się obojętność i prawie żadne zainteresowanie się dla najistotniejszych obowiązków patryotycznych.

Jest wprawdzie w Kurytybie kilka stowarzyszeń, ale wszystkie pozbawione są silnej dłoni, któraby je spoiła w nierozdzielną jedność, gdyż wielu, nie włożywszy nawet we wzniecaniu tego ducha żadnej pracy intenzywnej, chciałoby tam narzucać swoje pomysły; marzenia, które rozstrajają i niweczą zasady w samej rzeczy dobre. By myśli te się ucieleśniły, pracuje się w tym względzie już w szkołach, których w parafii naszej jest pięć. Ostatnia, którą otworzono, jest na kolonii Antonio Prado. Osadę tę, najwięcej zaniedbaną i jałową pod względem religijnym i narodowym, rozbudziliśmy i nakłoniliśmy, by polską założyła szkołę. Koloniści dokonali tego ku wielkiemu oburzeniu nauczyciela brazylijskiego, któremu poumykały dzieci polskie, a nawet i wło-

skie, proszące się, by i one mogły uczęszczać do szkoły polskiej.

Szkoły na Lamenii Dużej i Małej pomyślnie się rozwijają. Na Lamenii Dużej uczy Siostra Kazimiera Urbańska, a na Lamenii Małej jeden z kolonistów. Do jednej i drugiej szkoły dojeżdżam dwa razy w tygodniu z nauką religii. Najwyżej stoi szkoła na Abranches, gdzie uczą dwie Siostry, Siostra Przełożona i Siostra Bronisława, która pod każdym względem urabia serca sobie powierzone. Siostra Przełożona prowadzi także szkołę niemiecko-włoską. Dzieci niemieckich zapisało się około 9, a włoskich blizko 30. Zajętą jest biedaczka cały dzień szkołą. Ksiądz Superyor bawi obecnie na misyach w Araukaryi, więc szkoła w Abranches nie ma w tych paru dniach nauki religii. Do szkoły na Abranches uczęszcza dzieci polskich 120, na Lamenii Dużej przeszło 60, na Lamenii Małej przeszło 30, na Antonio Prado do 30, a na Pakatubie przeszło 20.

Przed dwoma tygodniami pożegnał się z nami p. konsul Okęcki. Był u nas także nowy konsul p. Haller von Hallenburg. Najwięcej spodobało mu się Abranches. Za żadną cenę nie myśli siedzieć w Kurytybie, tylko gdzieś na kolonii. Jest rozczarowany, aż mi się śmiać chciało, gdy narzekać zaczął na stosunki tutejsze. P. Okęcki dał mi młodego tygrysa, którego chować będziemy, by później ozdobić nim nasz zoologiczny gabinet na Kleparzu, i dwa lisy tutejsze. Gdy wolną mamy chwilkę czasu, zaglądamy wtenczas do Orleansu, gdzie z ks. Chylaszkiem do syta się nagadamy.

Jeszcze jedną rzeczą mam podzielić się z Przewielebnym księdzem Wizytatorem. Sprawa ta ściśle łączy się z kwestyą o stowarzyszeniu. By młodzież tutejsza mogła z pożytkiem później pracować dla społeczeństwa swego w Brazylii, musi ona wpierw zaczerpnąć coś z żywotności ducha narodowego, ba musi na wskróś nim przesiąknąć. Bez tego będzie ona polską wprawdzie, ale nie będzie w niej duszy polskiej. Zauważyłem to zaraz w początkach osiedlenia się mego. Zbawienną byłoby rzeczą, żeby młodzież tutejsza,

a przynajmniej zdolniejsi z niej, duchem tym napoili się w kraju. Na chęciach niektórym kolonistom nie brakuje. Jeden z zamożniejszych chętnie oddałby syna swego do Krakowa, a nawet zobowiązuje się płacić miesięcznie na jego utrzymanie. Syna swego chciałby on wysłać z końcem lipca lub z początkiem sierpnia, by rok szkolny mógł rozpocząć zaraz we wrześniu. Nazywa się ów kolonista Maciej Lipiński, a syn jego Józef.

W przyszłym tygodniu mam wyjechać na Prudentopolis z pomocą ks. Mięsopustowi, bo ks. Ździeblo uczy się języka brazylijskiego w Seminaryum w Kurytybie. Teraz, kiedy najwięcej jest pracy u nas, mam opuszczać Abranches i wędrować do ks. Mięsopusta; ale cóż zrobić? Trzeba jechać, bo Pan Jezus tak chce.

Jak Najczcigodniejszy ksiądz Wizytator do nas zawita, to wyjedziemy po Niego swoim powozem, który sprawił ks. Chylaszek. Konie mamy uczciwe, a zwłaszcza mój Turuś, to arab, anglik, odcieni wszystkich ras dopatrzeć się w nim można. Przesyłam Czcigodnemu księdzu Wizytatorowi podobiznę jego. Jest on dobrym moim przyjacielem, bo tylko raz zrzucił mnie siebie.

Prudentopolis.

Ks. Sup. Mięsopust pisze do ks. Sup. Lewandowskiego, z kolonii Relogio, pod datą 23. marca b. r.:

Aniby może ksiądz Superyor nie pomyślał, żem taki bezbożny, bo piszę na ołtarzyku; ale ponieważ to ołtarzyk prowizoryczny, nie robię sobie skrupułu. I miejsce, z którego piszę, dziwne, bo nazywa się „zegarek". Piszę więc właściwie do ks. Superyora „z Zegarka" w domu brazilijskim. Nikogo nie ma, prócz właścicieli domu, korzystam więc z czasu, tem bardziej, że noga nie pozwala mi wyjść, bo ją sobie porządnie stłukłem zeszłego tygodnia wracając z Miguel Calmon. Siostry mnie chciały zrobić chorym, ale ograniczyłem się tylko do tego, że przez dwa dni odprawiłem

mszę św. na plebanii, dzień zaś św. Józefa mimo mej woli wyprowadził mnie do kościoła. Może był w tem nawet palec Boży, że pierwszy raz w Brazylii wyrzekłem leżąc na ziemi „oj... oj!!“, bo zdecydowałem się prosić o ks. Wróbla i bez trudności go otrzymałem od ks. Bronnego.

Ciekawa okoliczność sprowadziła mnie do tego domu. Znałem go już od kilku miesięcy, bo zaopatrywałem tu cały niemal dom, który równocześnie wyglądał jak szpital. Podobno po śmierci ojca i matki miało tu stukać całemi nocami, nadomiar miał się nieboszczyk zjawić pewnej protestantce i prosić o trzy msze i o pewne jałmużny. Naiwni Brazylianie uwierzyli we wszystko i ofiarowali mężowi wizyonerki konia, ubranie, kapelusz i buty, bo tak miał sobie życzyć nieboszczyk. Gdym się o tak spekulacyjnych widzeniach dowiedział, jak najprędzej ruszałem do domu, zadowolony, że choć trzy osoby wyspowiadałem i w ten sposób sumienie uspokoiłem, że dałem wszystkim możność do spełnienia obowiązku wielkanocnego.

W miejsce p. Okęckiego otrzymaliśmy bardzo zacnego konsula w osobie p. Hallera. Z nim to zrobiłem wycieczkę w ostatnim tygodniu do Miguel Calmon. Proszę sobie wyobrazić: jechało nas trzech, konsul, ja i niejaki p. Bonfili, Rzymianin, z podupadłego rodu markizów. Konsul mówi doskonale po włosku, ponieważ długi czas był w Smyrnie, a tam językiem urzędowym jest język włoski, ja mówiłem po portugalsku, Włoch jakąś mięszaniną języka włoskiego i portugalskiego, co tem więcej nas uderzało, że zaledwo od roku przebywa w Paranie. Zrozumieliśmy się jednak wszyscy.

Ks. Biskup już nam obiecał Miguel Calmon, choć to leży w sferze OO. Verbistów, nawet właśnie co dopiero odebrałem list, w którym ks. Biskup zwraca się do mnie, abym napisał w jego imieniu do ks. Chalcarza, aby wyjeżdżając wszystkie rzeczy kościelne w moje oddał ręce.

Według najnowszego biuletynu dyecezyalnego księża polscy w takich miejscowościach będą tylko kapelanami dla Polaków i koadjutorami (wikarymi) księży brazylijskich,

jednak od nich w stosunku do Polaków niezależnymi, będąc tylko obowiązanymi płacić im połowę od chrztów i ślubów brazylijskich. Gdy jednak księdzu Biskupowi przedłoży się prośbę, aby takie kapelanie, jak n. p.: Mateusz, Agua Branca, uznał za ekspozytury, bo o probostwo trudno nam się kusić, (dotąd tylko Lucena miała to szczęście, że została wyniesioną do rzędu parafii), jest uzasadniona nadzieja, że je uzna. Podobnie mieliśmy w Prudentopolis. Za księdza Rymara istniała tu tylko kapelania polska; gdyśmy jednak wystosowali prośbę do dzisiejszego arcybiskupa z Sao Paulo, aby ją oddzielił od Guarapuawy i uznał ją za niezawisłą ekspozyturę, uczynił to zaraz. Musieliśmy jednak objąć także Brazylian. I niema innego wyjścia w naszych stosunkach kościelnych. Gdyby Brazylianie nie należeli do bezpośrednio najbliższego kościoła, musieliby czasem kilka dni podróżować do swojego księdza.

Obecnie powstają kolonie polskie, względnie ruskie, tu i około Rio Claro. Kolonię Candido de Abreu, której szefem jast Ślązak Saporski i która obejmie do 700 rodzin, będzie najlepiej znał ks. Kandora. Niezadługo zostanie ogłoszony p. Lech szefem nowej kolonii, która powstanie niedaleko od nas, ale już w obrębie parafii Guarapuawskiej w miejscowości „Marecas". Nasza kolonia Xavier da Silva będzie stosunkowo małą, aby utworzyć samoistną parafię. Musi więc należeć do Prudentopolis. Ale za to, sądzę, Miguel Calmon utworzy osobną parafię; to też na nią najpierw uwagę zwrócić powinniśmy i przyjąć to miejsce. Mateusz ma księdza, Agua Branca także, na Miguel Calmon jednak ciężko ciągle przedzierać się przez lasy. Prawda, od roku ciągle zawieszony jestem między niebem a ziemią, i stosunki dotychczas takie były i jeszcze są, że tylko ja sam obracałem się między Corrêa, Calmon i Xavier, ale ciągle tak się forsować byłoby trudno. Odtąd urządzimy się inaczej. Ale jeszcze lepiejby było, gdyby tam który ksiądz osiadł, bo z Xavier da Silva i z Koreją już tak dość będziemy mieć wyjazdów. Ks. Biskup wspominał, że dobrzeby było, aby ktoś z nas zamieszkał na Kalmonie, bo około księdza dobrzy będą się groma-

dzić, a nie będzie go, to ich usidlą źli. Zapatruję się sceptycznie na tymczasowe utrzymanie księdza, a nawet boję się, że lud nie odczuwszy wpierw potrzeby księdza, nie będzie się troszczył o niego i ksiądz byłby zmuszony później uciec od niego. Nie wiem, o ileby taka roztropność chwalebną była. Możnaby też zmieniać się i co miesiąc mógłby inny tam dojeżdżać, ale wtedy tutaj musiałoby być trzech księży.

Widzę z obecnego listu księdza Superyora, jak bardzo sprawa indyjska leży Mu na sercu. I nas też wszystkich niewątpliwie ona interesuje. A nasze Prudentopolis przenosi nas myślą w niedawne czasy, gdy jeszcze swobodnie hasał sobie Koroad po naszych lasach za zwierzyną. Ciekawych rzeczy dowiedziałem się w tym tygodniu. Gdy przed trzynastu laty pierwsza siekiera tknęła się lasu, aby otworzyć drogę do przyszłego miasteczka, znaleziono w miejscu, gdzie dziś Józef Ogibowski posiada skład na herwę, mnóstwo metali i węgli drewnianych. Nadto, gdy prostowano koryto rzeczki płynącej w pośrodku miasta, wykopano dwa słupy, po dwa i pół metra długie a 6 cali szerokie, przywalone warstwą ziemi głęboką na dwa metry. Najstarsi Brazylianie mieszkający nad główną drogą do Guarapuawy, znajdującą się wówczas o półtrzeciej mili stąd, nie umieli sobie wytłómaczyć tej rzeczy.

Rozmawiałem w tych dniach z francuskim inżynierem Chapot, zajętym chwilowo pomiarami w Prudentopolis. Według tego, co mi mówił, przeszedł całą przestrzeń od Prudentopolis, wzdłuż naszych rzek Rio dos Patos i św. Jana, płynących poza naszą kolonią pod nazwą rzeki Ivahy (Iwai), aż do wyspy siedmiu wodospadów na rzece Paranie. Byłby więc kompetentnym znawcą stosunków indyjskich. Ganił ogromnie najnowszą mapę wydaną przez rząd parański. Wskazał mi na mapie, jak błędnie jej autorowie poprzekręcali nazwy rzek, jak fałszywie poumieszczali góry w niektórych miejscowościach. Odważyłem się go zapytać: „A czy pan ma może mapę lepszą? A możeby mi pan jej pożyczył?“

Na to uśmiechnął się i powiedział: „A to ksiądz chce, abym mu podarował swoje studya?“

Ten inżynier opowiadał mi, że na wodospadzie Rio Branco ma się znajdować na dole wykuty napis świadczący o pobyciu Jezuitów w Prudentopolis. Taki sam napis jeszcze miałby się znajdować u drugiego wodospadu mającego 80 m. Prócz tego ma się znajdować w okolicach prudentopolskich grota z jakąś ryciną symboliczną. Są to rzeczy ciekawe, które pragnąłbym zbadać i autentycznie się o nich przekonać. Nie żałowałbym trudu i chętnie tę przyjemność uczyniłbym ks. Wróblowi, ale nie mogę obecnie puszczać się na badanie. Wierzę tylko, że mogli aż w nasze strony docierać Jezuici i tego bynajmniej rozsądniejsi u nas nie przeczą, bo jeśli niedaleko za naszą kolonią pracowali i tam wznosili miasta na cześć św. Antoniego i innych Świętych, łatwo mogli przybywać aż w nasze strony, zwłaszcza, że rzeka Iwai, nad którą tyle miast indyjskich się wznosiło, jest tą samą rzeką, co rzeka Rio dos Patos albo św. Jana.

Dziwne koleje przechodzili nieszczęśliwi Indyanie. Zaświtała dla nich jutrzenka wiary; robili w niej ogromne postępy, ale już w połowie wieku XVII. nienawistnem okiem spojrzał na nich wróg i wypędził ich z kwitnących ich miast, a połowa XVIII. wieku pogrzebała ich w dawnej ciemności. Słabi i bezsilni cofali się wciąż przed chciwym Europejczykiem, dawniej lub później przybyłym do Brazylii, a ostatnie nawet lata krwawo się zapisały w historyi Indyan. W r. 1880 zebrał José dos Campos Neves w południowo-zachodnich stronach Sao Paulo między rzekami Parapanema, Parana i Tieté 30 ludzi i rozbił ich tabor. Ci, co uszli, zginęli otruci, bo José dos Campos zatruł wszystkie źródła. Tak wyginęło marnie sześciuset Indyan ze szlachetnego szczepu guarańskiego. W tym samym czasie srożył się w Sao Paulo Sancho de Figueredo, nie znany inaczej, jak tylko pod nazwą „postrachu Indyan“.

Na południu nie było inaczej. W Santa Katarynie istniały do niedawna prywatne pułki myśliwskie, które polowały na

Indyan, jak na zwierzynę. Z początku rząd kataryński patrzał nawet przez szpary na popełniane nadużycia. Doszło jednak do tego, że musiał surowo zabronić barbarzyńskich obław. Kataryńczycy nie mogąc odtąd tępić indyjskiego szczepu, przeszli na inną drogę. Postanowili szukać sposobów ucywilizowania go. Robią więc próby, chcą nawiązać z nim stosunki. Liga mająca wielkiemi literami wypisane na swym sztandarze: „Nieśmy oświatę temu ludowi", wyprawia w poselstwie już ucywilizowaną Indyankę wraz z dzieckiem, ale zawodzi się, bo ta już nie wraca. Rolę pacyfikacyi bierze wtenczas na siebie Czech, Albert Fric, i z wizytówkami: „Alberto Fric, Pacificador dos Indios", tryumfalnie idzie na podbój Indyan, lecz wizytówek swoich żadnemu Indyaninowi nie oddał, a tylko bardziej ich rozjątrzył.

W Paranie przedstawia się kwestya indyjska nieco odmienniej. Nie napotkali tu Indyanie na żywioły tak srogie, nadto, otarli się już po części o pewną cywilizacyę. Wszystkie nasze szczepy można na cztery grupy podzielić: południową wzdłuż granic kataryńskich, środkową, północno-zachodnią i środkowo północną między Tibagy (Tibaži) i Ivahy. Pierwsi, mylnie za Botokudów podawani, mieszkają na całym szlaku granicznym między Paraną i Kataryną i nazywają się właściwie „Indios Carijos (Karyżos). Mieszkali oni w XVI. wieku nad zatoką Paranagwajską, a stąd zostali wyparci na południe. Na końcu XVIII. wieku zwiedzał jakiś Francuz okolice Rio Negro i wyraża się bardzo pochlebnie o nich, chwali ich łagodne usposobienie i dobre pożycie z Europejczykami. Dziś jest ten szczep niedostępny, wprost straszny i dziki, ale takim go sami Europejczycy uczynili. Umiem sobie wyobrazić, jak musi wyglądać prawdziwy Karyżos, bo na Lucenie raz widziałem syna Karyżoski, porwanej kiedyś przez Brazylian, która później wyszła za Brazylianina. W pobliżu żył prawdziwy Karyżos, dobrze znany przez kolonistów, który w siódmym roku ujęty wychowywał się u Brazylian. Do niego miał być ów człowiek, którego widziałem na Lucenie, całkiem podobny, jak mnie zapewniali koloniści. Był wzrostu średniego,

mocno zbudowany, barczysty, z wystającemi kościami policzkowemi, z zębami skośnymi, podobnie jak u niektórych murzynów. Gdybym go zobaczył w nocy, mógłbym się go przestraszyć.

W środku mieszkają Koroadzi. Lud to spokojny, łagodny, ale głupkowaty, leniwy, niemoralny i oddany pijaństwu. W lipcu zeszłego roku przedstawiłem ks. Bronnemu jednego Indyanina z tego szczepu. Nie patrzał na nas, oczami wodził na wszystkie strony, kręcił się niespokojnie, aby jak najprędzej uciec. Inny mój serdeczny parafianin, jak przyjdzie do mnie, zawsze przyjdzie pijany. Pamięć Jezuitów trwała u nich długo. Chociaż wiara chrześcijańska zacierała się u nich, pozostały wszakże jeszcze wśród nich pewne reminiscencye. Pamiętali, że księża golą tonzury, to samo więc czynili. Stąd pochodzi też nazwa Koroadów (coroa — wieniec, tonzura). Inni zostawiali sobie tylko wianek naokoło głowy, przypominając sobie, że tak widywali św. Antoniego na figurach. Okazuje się to już z tego, że jedno z najbliższyzh miast od Terezyny nosiło imię tego Świętego. Dziś zwyczaj golenia głowy zarzucili.

Dzielą się oni na kilka plemion: Dorynów, Wotorynów, Kajrukrów i Kajugangów. Różnicy plemiennej dość strzegą między sobą, patrzą jednak chętnie, gdy rodzina jednego skojarzy się z rodziną drugiego plemienia. Następuje wtenczas powinowactwo z całem plemieniem i takiego młodzieńca nie inaczej wszyscy nazywają, jak żambré, to jest szwagier. Język ich nazywa się „kamé“. Są to nasi najbliżsi sąsiedzi. W okolicach Terezyny jest ich około 350 rodzin. Osada ich nazywa się „toldo“. Dawniej toldy były bardzo liczne; miały po 300, 400 rodzin najmniej. Dziś są bardzo przerzedzone i liczą 30, 40, a w północnych częściach Parany rzadko 100, 200 rodzin. Na czele każdej osady stoi kacyk, który miewa stopień kapitana, a nawet pułkownika brazylijskiego. Noszą prawie zawsze podwójne imiona, swoje i brazylijskie. Kacyk Cio w Terezynie nazywa się po brazylijsku Paulino Aranque i jest pułkownikiem. Ma także swoją sławę, bo pokonał

szczep Botokudów i uprowadził dwóch niewolników. Zawsze teraz pełnią około niego służbę.

W północno-zachodniej stronie Parany między Sao Paulo a Paraguajem, mieszkają Guarańczycy. Są najoświeceńsi i dlatego też najśmielej wypowiadają przed rządem swe skargi na białych. Język ich w Paraguaju jest na równi uprawniony z językiem hiszpańskim.

Między Ivahy a Tibagy, w północnych stronach Parany, znajdują się Botokudzi. Niema ich więc na Lucenie i nie oni napadali kiedyś na kolonie polskie, ale Karyżosowie. Botokudzi odróżniają się od innych Indyan tem, że noszą w dolnej wardze przedmiot ozdobny, wyrabiany z żywicy pewnego drzewa, tak, iż ma wygląd całkiem przeźroczysty, podobny do bursztynu. U góry jest cieńszy, a okrągły, iżby łatwo można wstawiać go do wargi; w środku zwęża się, ale zaraz grubnieje, zachowuje jednak zawsze kształt okrągły i kończy się ostro. U zwyczajnych Botokudów jest 3 lub 5 cm. długi, a u kacyków ma 20 cm. W ich języku „tupi“ nazywa się tambetà. Słyszałem, że owe tambetà mają sobie wyrabiać ze sęków drzewa piniorowego, a ponieważ sęk w ich języku ma znaczyć „botokud“, dlatego więc cały szczep ma się nazywać Botokudami. Ciekawa, ale i oryginalna etymologia! Między innemi opowiadają tam, że zapomocą tej tambetà gwizdają i zwołują się. Wszystko nieprawda. Tambetà jest ozdobą plemienną.

Wszystkich Indyan w Paranie będzie do 3500.

Myśl o misyi wśród pogańskich Indyan, która już oddawna zajmuje Czcigodnego Księdza Superyora, jest nadzwyczaj piękna i szlachetna. Ale czy faktycznie nasi Misyonarze mieliby chęć podjąć się takiego dzieła? Jakby się na to Ks. Wizytator zapatrywał?

Rzecz sama nie najtrudniejsza. Języka można się nauczyć łatwo, bo są gramatyki, wielu zna język indyjski. Sami Indyanie często jeden i drugi język znają. Ich kapitanowie zawsze umieją po portugalsku. Chodziłoby tylko o to, gdzieby obrać miejsce do pracy.

U nas wszystkich Indyan będzie z dziesięciu. Miguel Calmon najwięcej się zbliży do nich. Pozostaną jednak zawsze poza naszym obrębem. Pozostałaby więc tylko Terezyna. Dzisiaj należy ona do OO. Verbistów, mógłby ją zapewne ks. Biskup od nich oddzielić, bo kontrakt odnosi się tylko do Guarapuawy. Miejsce byłoby nie złe: na krańcach Prudentopolis i Miguel Calmon. Są i Brazylianie, byłoby więc małe oparcie. I Hugenoci tamtejsi dziś zbrazylianizowani możeby się nawrócili. Ale trzebaby ks. Biskupowi oświadczyć się z chęcią podjęcia się misyi indyjskich, bo obecnie o nas tyle wiedzą, że jesteśmy głównie dla Polaków. Jeżeliby się misya taka założyła, trzebaby także mieć na nią mały fundusz, a nawet i dwóch braciby się przydało.

Tu moglibyśmy mieć prawdziwą misyę, jak w Chinach. Jak tam niejeden męczennik wprost do nieba poszedł, tak tu także się rodzą męczennicy i nawet mogą wielcy się urodzić. Męczeństwa nie braknie, a trudniej je znieść od swojego, aniżeli od obcego, a jednak trzeba je znieść. Zazwyczaj męczeństwem nazywa się ostatnią chwilę, w której postronek chiński przerwie pasmo życia, a wytrwały tutejszy Misyonarz aż do śmierci, więcej pragnąćby nie mógł. Łatwo chcieliby nasi dostać się do nieba, a podobno i św. Bernard przeszedł przez czyściec, a wielkim jest Świętym. Chcą czasem głód cierpieć, zimno, zmoknąć do suchej nitki i jechać całkiem przemoczony przez pięć mil? jak czas niekiedy zdarzy, kroczyć dwie mile w błocie, zachorować od niewygód i inne jeszcze mieć przyjemności i nieprzyjemności? Wszystko to mogą tutaj znaleźć. Można i tego doświadczyć, że zamiast na wygodnem łóżku możemy się przespać na ziemi, a wśród burz i błyskawic, na wozie, skuleni obok siebie. Doświadczyłem tego z ks. Chylaszkiem, trzy lata temu.

Księża Misyonarze w Reggio i na Sycylii.

(Por. Annales r. 1909, Nr. 2).

1. W Reggio.

Ks. Tedesco, superyor domu w Reggio, pisze do ks. Veneziani'ego, asystenta Zgromadzenia w Paryżu, z Neapolu pod datą 20. stycznia b. r.:

„Mając jeszcze świeżo w pamięci straszne i przerażające wrażenie, jakie na nas wywarły wypadki z dnia 28. grudnia z. r., przesyłam niektóre szczegóły o naszem cudownem ocaleniu w Reggio.

Był to dzień wolny w seminaryum; korzystając więc ze spoczynku uczniów, przedłużyliśmy też i nasz spoczynek o pół godziny, aby pokrzepić siły nadwątlone ciągłą pracą. To też w łóżku jeszcze zaskoczyło nas silne trzęsienie ziemi, najprzód pionowe, potem faliste; przez jakie czterdzieści sekund zdawało nam się, że jesteśmy świadkami jakiegoś piekielnego tańca. Pierwszą naszą myślą było: wzbudzić akt żalu za grzechy; zrobiliśmy też to z całego serca. Wezwaliśmy pomocy Najświętszej Panny i św. Wincentego, błagając, aby swem wstawieniem się ustrzegli nas od strasznej śmierci pod gruzami. Potem ubrawszy się jak najspieszniej, wychodzimy z naszych izdebek, ale tumany pyłu wapiennego, wychodzącego ze szczelin i otworów popękanego muru, oślepiły nas zupełnie. Uczniowie kolegium i seminarzyści przerażeni do najwyższego stopnia rzucili się z okropnym krzykiem na schody, a i my także skierowaliśmy tam nasze kroki. Tymczasem na dormitarzach kamienie i odłamy muru padały z hałasem i zraniły nawet lekko kilku naszych wychowanków.

W czasie tych chwil przerażających mieliśmy jeszcze kłopot z uczniami, bo niektórzy z nich pouciekali nie ubrawszy się dostatecznie, a pozostali tak się niepokoili o swe rodziny, że nie wiedzieliśmy, jak ich pocieszyć.

Wielką pociechą i ulgą była dla nas pewność, żeśmy za łaską Bożą uniknęli śmierci. Wkrótce wszakże doszła nas smutna wieść, że dwaj nasi seminarzyści padli ofiarą trzęsienia ziemi: subdyakon Rossi i drugi kleryk, nazwiskiem Falduti. Byli w drodze do Messyny przez Villa San Giovanni wraz z innymi towarzyszami, i w chwili właśnie, gdy mieli wsiąść do wagonu, stacya w Reggio zawaliła się z hałasem i pogrzebała ich pod swymi gruzami.

W chwili gdy się nieszczęście to wydarzyło, była jeszcze noc, nikt więc nie zdawał sobie dokładnie sprawy z rozmiarów zniszczenia; ale w miarę jak się dzień robił, przedstawiał się naszym oczom widok coraz to okropniejszy. Całe miasto było w gruzach w przeciągu kilkudziesięciu sekund! Przerażeni tym widokiem, podczas gdy uczniowie nasi wracali do swych rodziców, żywych jeszcze czy też już umarłych, my pozostaliśmy na miejscu, oglądając się za ludźmi, godnymi zaufania, żeby im powierzyć najmniejszych z naszych uczniów, by ich odwieźli do rodziny. Kilku ze starszych, lub pochodzących z dalszych stron rzuciło się pod wodzą jednego z prałatów katedralnych na ratunek i dzięki heroicznym wysiłkom udało im się ocalić kilka osób. My zaś rozdzieliliśmy się, spiesząc to z odzieżą, to z napojem do biednych rannych umieszczonych w miejscach najmniej niebezpiecznych w seminaryum, a także nieśliśmy pociechę tym nielicznym uratowanym, którzy w tych smutnych chwilach, szczególniej w nocy pragnęli nas mieć przy sobie. Czasem spieszyliśmy do miasta z gromadką naszych uczniów, aby i tam nieść duchowną i doczesną posługę tak wielu nieszczęśliwym.

Częste wszakże powtarzanie się silnych wtrząśnień ziemi, brak stałego schroniska, ciągła słota, przykry fetor z rozkładających się trupów, brak nawet kawałka chleba i szklanki wody zmusiły nas do opuszczenia tego ogromnego cmen-

tarza. Pieszo udaliśmy się do Lazzaro, gdzie po pięciu godzinach męczącej wędrówki przybyliśmy z sercem rozdartem, bo po drodze wciąż przechodziliśmy obok bezkształtnych mas ciał ludzkich i wśród ogromnych zwalisk i gruzów. Udało się nam znaleźć dla siebie miejsce w pociągu odchodzącym do Neapolu, dokąd dojechaliśmy nareszcie po dwóch długich dniach.

Cud to prawdziwy, żeśmy ocaleli. Najśw. Dziewica, której cudowny medalik ciągle przykładaliśmy do ust w strasznych tych chwilach, i święty Wincenty widocznie opiekowali się nami i naszymi uczniami, ponieważ nikt z mieszkańców seminaryum nie zginął, oprócz wspomnianych dwóch zasypanych na stacyi!

2. Na Sycylii.

O poświęceniu ks. Mancino, superyora z Katany, była mowa przy ocaleniu Sióstr Miłosierdzia w Messynie. Dwaj inni Misyonarze z Caltagirone dali rozliczne dowody roztropności i poświęcenia przy niesieniu ratunku ofiarom strasznej klęski w Messynie. Podajemy najprzód kilka wyjątków z listu rzymskiego korespondenta dziennika *l'Univers*, z dnia 1. lutego b. r.

„Nasi czytelnicy, powiada, wiedzą, że wiele wysokich osobistości we Włoszech, chcąc odwrócić uwagę publiczności od ciężkich zarzutów, które się zewsząd podnosiły na niezmiernie słabą akcyę ratunkową ze strony organów rządowych, zaczęło bezwstydnie zaprzeczać działalności duchowieństwa. „Księży tam nie widziano!“ wołali niektórzy z tych panów, którzy sami poprzestali na tem, że zwiedzili kilka najmniej klęską dotkniętych punktów miasta Messyny. Gdyby byli się trochę dłużej zatrzymali wśród ruin i przy nieszczęśliwych ofiarach, byliby zapewne dostrzegli pracy duchownych, jak widzieli i podnosili ją korespondenci dzienników najmniej podejrzanych o sympatyę dla duchowieństwa. — Wywody p. Mirabello, ministra marynarki przyczyniły się tylko do tego, że heroiczne poświęcenie się duchowieństwa wyszło tem bar-

dziej na jaw; a bez tego może pozostałoby na zawsze w cieniu!...“

W Messynie, gdzie wskutek klęski zginęły dwie trzecie części duchowieństwa, zjawili się zaraz nazajutrz księża z miast okolicznych. Władze wojskowe nie chciały wszystkich przypuścić. Z pośród tych księży, którzy tam wejść zdołali odznaczyło się przedewszystkiem dwóch księży Misyonarzy francuskich, ks. Durand i ks. Tardieu, z Caltagirone.

Jeden z dzienników w Caltagirone pisał o nich: „Socyaliści, liberałowie, wolnomularze, wszyscy byli zachwyceni bohaterskiem poświęceniem i niezmordowaną pracą dwóch OO. Misyonarzy, ks. Durand i ks. Tardieu, profesorów tutejszego Seminaryum. Przybywszy do Messyny musieli spędzać noce pod mostem chroniąc się przed deszczem, a potem w wagonie.“ „W nocy — opowiada jeden ze znanych masonów — przełożony spoczywał nieco po pracy, siedząc w wagonie i trzymając na kolanach dwoje dzieci, które ustawicznie z rozpaczy wołały za swą matką, a on je uspokajał i pocieszał“. Nie wątpimy, że i wiele innych osób potrafiłoby okazać tyle świętego heroizmu, ale jest tu właśnie mowa o księżach, których źli ludzie tak niegodziwie oczerniają. Ducha to świętego Wincentego a Paulo czuć tutaj wyraźnie. Po nocy zaś bezsennej wracali do pracy z nowym zapałem, tak jak gdyby przespali całą noc równie wygodnie, jak oficerowie na swym okręcie stojącym w porcie, i rozpoczęli na nowo ciężką akcyę ratunkową. Kierowali pracą nielicznych ochotników, nosili na swych ramionach umarłych i rannych, podawali jedzenie i napój kalekom, zbierali dzieci, rozgrzebywali własnemi rękoma gruzy, w nadziei, że jeszcze tam kogo żywego odnajdą; zachęcali drugich do pracy, a umierającym udzielali absolucyi. Dość powiedzieć, że 1. stycznia kończyli swą pracę, ciesząc się, że trzydziestu pięciu osobom uratowali życie.

„Następnego dnia dwaj nasi kapłani, po gorzej jeszcze spędzonej nocy, jak pierwsza, wzięli się znowu do roboty; kopali, ratowali, rozdawali chleb, wodę i inne napoje, sami zaś, choć zgłodniali, poprzestawali na paru pomarańczach

i kilku kroplach wody. Tak przetrwali na tej ciężkiej pracy całe dni cztery; wreszcie w podartej odzieży, zmienieni do niepoznania, bez obuwia, cali przesiąkli odorem trupów, musieli ze zmęczenia zaprzestać pracy, naprzód ks. Durand, a potem ks. Tardieu. Powrócili do domu, a na ich miejsce było gotowych dwóch nowych Misyonarzy, ale wtenczas już nikogo nie wpuszczano do Messyny".

Sam ks. Tardieu opowiada o tem w swym liście szczegóły następujące: „Pierwsza rzecz, którąśmy zobaczyli przybywając do Messyny, to kornety Sióstr, które przybywszy tu dotąd z Katany w liczbie czterech, pod wodzą ks. Superyora Mancino, pielęgnowały biednych rannych. Od nich to dowiedzieliśmy się, że towarzyszki ich w Messynie ocalały niemal wszystkie. — Zostawiwszy pod ich strażą nasze tłumoki podróżne podążyliśmy na pracę ratunkową. Wychodzimy na przedmieście ulicą Ogrodową, *via degli Orti*. Co za okropny tutaj odsłania nam się widok! W otwartem polu rozłożyło się do dwustu osób szukając bezpiecznego schroniska. Rodziny poszczególne skleciły sobie nędzne szałasy, zaciekające na domiar złego wskutek ulewnego deszczu. Wewnątrz na błotnistem podłożu nędzne materace wydobyte gdzieś z pod zwalisk, a na nich rozlokowanych do czterdziestu rannych i chorych. — Kilku ocalałych rzewnemi łzami szlocha nad swymi zmarłymi. A nie mają nic, literalnie nic, dla swych chorych biedaków, skazanych wskutek tego na niechybną śmierć głodową, jeśli rychło nie nadejdzie pomoc. Tem bardziej nie mają nic dla siebie. Kilka łodyg fasoli, kilka listków kapusty i innego zielska, znalezionych w pustem polu — to cała ich strawa. — Rzuciliśmy się natychmiast do pracy. Pierwsza rzecz: ochrzcić kilka maleństw, co w tych strasznych dniach na świat poprzychodziły. Potem przenoszenie rannych, którym trzeba natychmiast udzielić pierwszej lekarskiej pomocy, a następnie odstawić ich na okręty. Głównie troszczymy się o dusze. Wszystkich udało nam się nakłonić do pojednania się z P. Bogiem; byli i tacy, co sami o rozgrzeszenie prosili. A ileż razy na dzień trzeba było odbyć tę bolesną

i ciężką, choć tak pocieszającą, wędrówkę z miasta do portu! Zrazu byliśmy sami dwaj (z ks. Durand); potem zaczęło nam pomagać kilku policyantów; przyłączyło się później do nich kilku żołnierzy. A nareszcie uprosiłem sobie u pewnego kapitana trzydziestu żołnierzy z porucznikiem na czele. Przy takiej pomocy zdołałem przeprowadzić na okręt wszystkich rannych i chorych z tej części miasta. Chleba przedewszystkiem potrzebaby tym biedakom; a skąd go dostać? Żołnierze nie mieli go sami dla siebie. Rozdają więc skrzynki z konserwami mięsnemi.

„Gdym skończywszy pracę zabierał się do powrotu spotyka mnie lekarz z oddziału Czerwonego krzyża, a podając mi wynędzniałe jak szkielet niemowlę półroczne prosi, bym mu powagą kapłańską wyprosił wstęp na okręt, bo bez tego zginie biedactwo. Powiodło mi się z tą sprawą. — Na okręcie spotkałem właśnie socyalistycznego deputowanego z Katany, p. de Felice; mógł naocznie się przekonać, że i ksiądz zajmuje się akcyą humanitarną“.

Po tak spędzonym dniu wraca ks. Tardieu do miasta, a odszukawszy swego superyora, ks. Durand, udaje się na plac św. Marcina, gdzie SS. Miłosierdzia wracając do Katany zostawiły im swe schronisko. Tam całkiem przemoczeni, osuszywszy się z wierzchu i ogrzawszy nieco przy roznieconem ognisku i pokrzepiwszy się nieco kawałkiem chleba i sera, zasnęli twardym snem pod nędzną szopą, wraz z kilku innymi towarzyszami tej samej zbożnej pracy. O północy budzą się całkiem skostniali, pod gołem niebem, bo wicher wywrócił ich nędzne schronisko.

Następny dzień, jak opowiada ks. Tardieu, zeszedł na tej samej uciążliwej pracy. Dwa jednak fakta pocieszające zaszły w tym dniu; najpierw wicher rozpędził chmury, ustała ulewa, zrobił się dzień jasny i pogodny; a potem, dostarczono znacznej ilości chleba, którym można było zgłodniałych zaspokoić na razie.

„Na miejsce odpoczynku, ciągnie dalej ks. Tardieu, przybył ks. Durand literalnie boso. Trudno tu gdzieś dostać

obuwia, a bez tego niemożliwą rzeczą, wspinać się po zwaliskach. Toteż musiał ks. Superyor wrócić do Caltagirone, prowadząc cały orszak sierót i rannych". — Było to w piątek wieczorem.

Dzielny ksiądz Tardieu pracował jeszcze przez całą sobotę. W niedzielę około południa, cały zbłocony, w łachmanach miasto sukni, przybywa do Katany, by wypocząwszy nieco wrócić na swój posterunek do Caltagirone.

W domu pozostali konfratrzy, księża Dumoulin, Dullaert i Bayol, zajęli się także obsługą rannych, dla których w samem seminaryum w Caltagirone ustawione około pięćdziesięciu łóżek. — Do Messyny już nikt nie mógł podążyć, bo kordon wojska opasał zgliszcza i nie wpuszczał nikogo. Ks. Bayol chcący zająć miejsce ks. Tardieu musiał z drogi zawrócić i podążyć do Katany.

U Konfratrów w Konstantynopolu.

(Ciąg dalszy).

4. *Kolegium św. Benedykta i kolonia polska w Adampolu.*

Konstantynopol, położony między dwoma tak różnymi światami, jak Europa i Azya, jest z natury rzeczy punktem atrakcyjnym dla wszystkich narodów. Dla gorliwości więc konfratrów naszych otwarło się tutaj nadzwyczaj wielkie pole pracy. Widzieliśmy już poprzednio, jak troskliwą opieką otoczyli nie tylko swych rodaków, lecz także nieszczęśliwych ormian i katolików niemieckich. Nic przeto dziwnego, że i Polacy znaleźli u nich pomoc religijną i prawdziwie ojcowskie serce. Pomni na miłość, jaką żywił św. Wincenty dla Polski, ze szczególniejszym zapałem poświęcali się dla biednych naszych współrodaków, których nieszczęśliwe losy Ojczyzny zagnały do Carogrodu. Szczególniej po powstaniu z roku 1830 wiele rodzin polskich schroniło się do Turcyi, aby tam znaleźć nową dla siebie ojczyznę, a wiemy także, że wielu z pomiędzy Polaków pragnęło w Turcyi znaleźć sposobność do walki z Rosyą. Nieszczęśliwy koniec powstania zapędził również niejedną rodzinę polską na wygnanie do południowej Rosyi i na Kaukaz, skąd znowu uciekali do Turcyi; przedewszystkiem jednak wielu z powstańców wcielono przymusowo do pułków rosyjskich na Kaukazie, aby tam przelewali swą krew w walkach z Kirgizami, których Rosya coraz to więcej wypierała na południe. Naturalnie, że bardzo często Polacy dezertowali z pułków rosyjskich, wtenczas to spotykamy takich nieszczęśliwych dezerterów polskich nie tylko w Persyi, gdzie walczą z dzikiemi hordami Kurdów, lecz także w Syryi, a nawet Egipcie, gdzie biorą żywy udział

w walce o niepodległość Egiptu przeciwko Turcyi, pod sztandarami bohaterskiego Mahomeda Ali. Niestety niejeden z nich utracił wiarę i przyjął islam, ale jednak dużo znalazło się takich, którzy mężnie się opierali prześladowaniu ze strony Muzułmanów i woleli raczej ponosić największą nędzę, niżeli wyrzec się wiary św. Takich wyznawców wiary spotykamy w tych latach bardzo dużo w Konstantynopolu.

Wspomniałem już dawniej, że wówczas Rosya wywierała wszechpotężny wpływ w Turcyi i nieraz nawet w Konstantynolu mściła się na naszych rodakach, co śmieli walczyć i przelewać krew za swą Ojczyznę. W takich to warunkach powstała kolonia w Adampolu, do której utworzenia przyczyniło się w znacznej mierze nasze Zgromadzenie z domu św. Benedykta na Galacie. Rękę do tego zbożnego dzieła przyłożył przedewszystkiem czcigodny ks. Leleu i Eugeniusz Boré, który wtedy był jeszcze urzędnikiem francuskim. Mianowicie p. E. Boré w jednej ze swoich licznych podróży po Kurdystanie w roku 1839 spotkał Polaka zaprzedanego do niewoli Kurdów. Zdjęty litością wykupił go za 500 piastrów (120 koron), przywiózł do Kostantynopola i oddał w opiekę naszym konfratrom, którzy już wówczas mieli w swym dworku w Czyfliku kilka rodzin polskich, umieszczonych tam przez Alzatczyków zamieszkałych w Rosyi. Czyflik w Rocznikach naszego Zgromadzenia nosi nazwę St. Vincent d'Asie; położony na brzegu małoazyatyckim w okolicach Bejkosu, pół godziny do dzisiejszego Adampola. Okolica ta jest nader urocza; góry starożytnej Bitynii jeszcze po dziś dzień obfitują w wielkie lasy. Konfratrzy posiadają w tych okolicach przeszło 20 km² ślicznego starego lasu. Tutaj to gorliwy ks. Leleu założył kolonię rolniczą, w której miano zaprawiać młodzież, wychowaną przez nasze Siostry i konfratrów, do pracy na roli, tutaj także sprowadzał katechumenów, którzy nie byli dosyć bezpieczni w Konstantynopolu wobec prześladowań, jakie ich czekały; tu natomiast na terytoryum, zostającym pod protektoratem Fran-

cyi, mogli spokojnie zaprawiać się do życia chrześcijańskiego. Kolonię tę nazywa często ks. Leleu nową Tebaidą.

Kolonia ta około roku 1841 miała odegrać ważną rolę w życiu naszych wygnańców w Stambule. W tymto roku książę Adam Czatoryski wysłał na wschód swego pełnomocnika Michała Czajkę w celu skutecznego zaopiekowania się Polakami narażonymi na ciągłe szykany ze strony Rosyi. Michał Czajka zwrócił się od razu do naszych konfratrów w kolegium św. Benedykta, prosząc ich, aby oni tę sprawę ujęli w swe doświadczone ręce. Ks. Leleu oglądając się w tym względzie jedynie na Opatrzność i na miłość św. Wincentego ku Polsce, jak to wyraźnie zaznacza w swym liście (Annales t. XI. str. 147—167 z roku 1845) bez wahania zgodził się na ten nowy, a ciężki obowiązek. Książę Czartoryski zobowiązał się wobec tego dostarczyć subwencyi rocznej w kwocie 6 tysięcy franków. Jak zobaczymy zaraz, potrafił ks. Leleu znakomicie obracać tymi pieniądzmi, w czem szedł za przykładem św. Wincentego, który także małymi środkami dzięki swym zdolnościom organizacyjnym dokonał wielkich dzieł. Ks. Leleu możemy słusznie uważać za współzałożyciela kolonii w Adampolu.

Wiadomości o początkach kolonii czerpiemy właśnie z listu ks. Leleu, zacytowanego wyżej. Interesującą jest organizacya tej gminy; jak się stamtąd dowiadujemy, koloniści dzielili się na cztery kategorye. Pierwsza: koloniści właściciele, to jest ci wszyscy, którzy posiadają w gminie jakikolwiek majątek nieruchomy; druga: robotnicy pracujący za zapłatą dzienną, albo dla kolonii, albo dla poszczególnych dzierżawców; trzecia: robotnicy zajęci tymczasowo poza kolonią, ale należący do tej gminy; do czwartej wreszcie kategoryi zaliczali się wszyscy wogóle Polacy, mający utrzymanie poza granicami gminy, jednakże zastrzegający sobie prawo przynależności do kolonii. Większość pierwszych kolonistów składała się ze zbiegów z wojska rosyjskiego z Kaukazu. Ks. Leleu przechował nam bardzo interesujące życiorysy sześciu z pomiędzy Polaków osiadłych w Adampolu.

Imiona niektórych z nich powinny być złotemi literami wypisane w martryologium polskiem, bo umieli walczyć nie tylko za Ojczyznę, ale także przelewać krew za wiarę. Opisy te są tak interesujące i ważne dla nas, że pozwolę sobie powtórzy niektóre.

Kazimierz Probała, wzięty do niewoli rosyjskiej w powstaniu 1830 roku, został zesłany na Kaukaz, aby walczyć w pułkach moskiewskich przeciwko Czerkiesom. Widząc wszelako, jakiego prześladowania doznawali Polacy, a zwłaszcza powstańcy i katolicy w pułkach na Kaukazie, uciekł do Czerkiesów, którzy go sprzedali w niewolę pewnemu bejowi Kurdów. Jako dzielny żołnierz oddał swemu panu znakomite usługi w jego awanturniczych wyprawach przeciwko dzikim hordom w Kurdystanie. Męstwem swojem zjednał sobie powszechny szacunek tak, iż nie śmiano go niepokoić w jego uczuciach religijnych. Gdy jednakże w r. 1840 wybuchła wojna między Paszą Egiptu a sułtanem Mahmudem, w jednej z potyczek dostał się Kazimierz Probała razem ze swym panem do niewoli egipskiej. Ibrahim Pasza oceniając wybitne zdolności Polaka, powierzył mu dowództwo nad oddziałem kawaleryi egipskiej. Tymczasem poczęto go zmuszać do przyjęcia islamu. Kazimierz przeczuwając niebezpieczeństwo, jakie grozi jego wierze, umknął potajemnie z górnego Egiptu, gdzie się jego oddział znajdował, pieszo przeszedł pustynię synajską, Palestynę, Syryę i Azyę Mniejszą, i tak dostał się do Konstantynopola. Pozbawiony wszelkich środków do życia zarabiał na kawałek chleba naprawianiem obuwia na ulicach Stambułu. Za czasów ks. Leleu, posiadł na kolonii własny dom, który sobie sam zbudował, znaczny kawał roli uprawnej, konia, krowę i pszczoły.

Ciekawym jest również żywot Jakóba Kędrzyckiego, zawdzięczającego swe ocalenie przychylności, jaką żywią wogóle Turcy ku Polakom. Jakób Kędrzycki został również zaprzedany przez Czerkiesów do niewoli Kurdów, gdzie za swoją wiarę ponosił tysiące męczarń i biczów, które mężnie przetrwał, póki nie uciekł z Persyi. W tym jednak właśnie

czasie Rosya wymusiła na szachu perskim i sułtanie tureckim wydanie wszystkich zbiegów polskich. Uciekając przeto z Persyi przeszedł Chaldeę, Mezopotamię, a przekroczywszy góry Taurus stanął na brzegu Czarnego morza. Gniew cara, jak cień złowrogi, przylgnął do jego osoby. Przybywszy do Synope natrafił tam na setkę Polaków wyłowionych w Małej Azyi i transportowanych do Sebastopola. Kędrzycki znalazł się również w liczbie tych nieszczęśliwych zbiegów, wydanych Rosyi. Na szczęście w sam czas przybył Pasza turecki, którego niezmiernie oburzyło takie postępowanie jego rządu; nie mogąc wszakże wprost sprzeciwić się rozkazom rządowym, nadał wszystkim skazańcom nazwiska muzułmańskie, a wobec komisyi rosyjskiej oświadczył, że wszyscy zbiegowie przyjęli islam, zaczem wedle Koranu powinien ich ochraniać. Próżno się miotali Rosyanie wobec takiego postępowania Paszy, wydał w ich ręce dwa indywidua pochodzenia rosyjskiego, znane powszechnie z pijaństwa i kradzieży. Czy z wdzięczności, czy też z braku środków utrzymania, wstąpił Jakób Kędrzycki odrazu w służbę swego wybawiciela. Dwanaście lat nieszczęśliwy ten zbieg nie widział kościoła katolickiego, jakież było jego zdziwienie, kiedy bawiąc przypadkowo w Konstantynopolu natrafił na kościół naszych konfratrów. Można sobie wyobrazić, jaką była radość jego, kiedy się przekonał, że to kościół katolicki, rzucił się twarzą na ziemię i zalał się rzewnemi łzami. Nie można go było żadną miarą skłonić do powrotu do swego pana, prosił tylko, aby mu czem prędzej dano ubranie europejskie, które nazwał ubraniem chrześcijańskiem, i oświadczył kategorycznie konfratrom, że nie rozstanie się z nimi, bo widzi, że znowu zamieszkał w pośród ludzi.

Pomijając życiorysy innych kolonistów, których w Adampolu konfratrzy osadzili, nie mogę wszelako nie wspomnieć jeszcze Józefa Zielińskiego. Jako ochotnik wstąpił w roku 1823 do 6-go pułku liniowego armii księcia Warszawskiego. Brał udział w powstaniu narodowem 1830 roku, gdzie w wielu potyczkach dał świetne dowody swego męstwa. Po

ukończeniu wojny wydali go Austryacy rządowi rosyjskiemu, a gdy mu chciano gwałtem nałożyć uniform rosyjski, oparł się stanowczo, za co otrzymał kilkaset nahajek. Prawie bez życia odprowadzono go szpitala, skąd ponownie umknął do Galicyi, jednakże po dwu latach ujęto go, wydano Rosyi i po ponownem ukaraniu odesłano w kajdanach na Kaukaz. Lecz stąd już po kilku dniach uciekł z pułku feldmarszałka Paskiewicza, a wpadłszy w ręce Ormian dostał się ponownie do swego regimetu do Eriwanu, gdzie go skazano na dwa tysiące nahajek. Było to właśnie w tym czasie, kiedy car Mikołaj zwiedzał prowincye kaukaskie. Nieszczęśliwy wyczerpany z sił i upływu krwi nie mógł się utrzymać na nogach. to też lekarz pozwolił Zielińskiemu usiąść, gdy car zwiedzał sale szpitala wojskowego. Pułkownik wszelako nie pochwalił tego zarządzenia lekarskiego, podyktowanego poczuciem ludzkości, i rozkazał stojąco oczekiwać wizyty cesarskiej. Na pierwszy rzut oka wzruszył się monarcha widokiem tego nieszczęśliwego człowieka, kiedy się jednak dowiedział, że tym skazańcem jest Polak, zawrzał niepohamowanym gniewem. Ileżeś otrzymał nahajek, zapytał mściwy car? Wasza cesarska Mości — odparł skazaniec — dwa tysiące. To za mało stanowczo, za mało, powtórzył kilkakrotnie nielitościwy władca. Zieliński po odzyskaniu sił ponownie umknął z Kaukazu, lecz już po kilku dniach dostał się w ręce kozaków. W drodze opowiedział im swój nieszczęśliwy los, kary, jakie otrzymał, opisywał im także Polskę, która przecież i dawniej była ojczyzną kozaków, i tem wzruszył twarde ich serca. Wówczas jeden z kozaków dońskich wziąwszy go na swego konia, przewiózł w głąb Persyi. Tam wstąpił nasz bohater do batalionów szacha i brał udział w niejednej wyprawie wojennej, gdzie okazał wiele odwagi i zdolności. To zyskało mu serce jednego z synowców szacha, który też energicznie się sprzeciwił ponownemu wydaniu Zielińskiego w ręce Rosyi. Zażądał wszelako od Zielińskiego, aby z wdzięczności przyjął islam, a kiedy się temu oparł, wtedy oświadczono, że zostanie w przeciągu trzech dni wbity na

pal. Już miano zacząć egzekucyę, gdy pewien tatar Ahmet Tewfik Bej uzyskał jego ułaskawienie. Z jego pomocą dostał się do Konstantynopola, a potem na kolonię polską. Podobne nieszczęścia dzielili i inni koloniści za udział w powstaniu, jak Urbański Albert, Serafinowicz Franciszek, Kabnowski Stefan i Wojciech Bielak.

Konfratrzy z domu św. Benedykta opiekowali się więc z wielkiem sercem kolonistami w Adampolu, a kiedy po zniesieniu prowincyi warszawskiej jeden z naszych konfratrów, ks. Rogowski, przybył do Carogrodu, polecili mu przełożeni opiekę duchowną nad współrodakami. Ks. Rogowski, zamieszkał w Czyfliku, odalonym zalewie pół godziny od Adampola; jak nam opisują Roczniki Zgromadzenia, z nadzwyczajną gorliwością zajmował się swojemi owieczkami. Za pracę jednakże swoją doczekał się ks. Rogowski strasznej niewdzięczności, miłość swą i poświęcenie przypłacił śmiercią, bo 21. stycznia 1874 roku znaleziono w łóżku jego zwłoki bardzo pokaleczone od razów zadanych ostrym kamieniem. Jak się potem domyślano, byli podobno niektórzy koloniści polscy wtajemniczeni w tę zbrodnię, choć morderstwa miał się dopuścić jakiś Grek. Komisya z ambasady francuskiej zjechała na miejsce wypadku, gdyż Adampol był pod protektoratem Francyi, lecz kiedy chciano pociągnąć niektórych kolonistów do odpowiedzialności, wtenczas ci odpowiedzieli kategorycznie, że są obywatelami tureckimi. Wobec tego nie mogli się już konfratrzy nasi francuscy opiekować kolonią, wszelako o nich nie zapomnieli, bo jak to już wiemy z „Misyi katolickich“ z opowiadania O. Czermińskiego S. J., jednem z największych starań naszego konfratra Msgr. Bonnetti, delegata apostolskiego w Turcyi, było dać kolonii polskiej stałego duszpasterza. Cieszył się bardzo, że znalazł w swem seminaryum jednego alumna Polaka pochodzącego z Warszawy, dzisiaj ks. Wiśniewskiego, że ten obejmie duspasterstwo na Adampolu. Życzenia Msgr. Bonnetti się nie spełniły, bo ks. Wiśniewski dotąd stale

mieszka w Carogrodzie, czasem tylko dojeżdza do kolonistów.

5. *Siostry Miłosierdzia w Konstantynopolu.*

Minęło 70 lat, jak pierwsze kornety okazały się na ulicach Carogrodu. Samo zjawienie się Sióstr Miłosierdzia nie wywarło głębszego wrażenia, bo na wschodzie istnieje niezmierna rozmaitość stroju i ubiorów, każdemu wolno się nosić jak mu się podoba. Jak jednak błogą i wielką rozwinęły działalność, okazuje się z owoców ich prac; dzisiaj w dwunastu przeszło domach Konstantynopola z górą dwieście Sióstr oddaje się wszelkiego rodzaju dziełom miłosierdzia. Wschód dzisiejszy to nieszczęśliwy paralityk, a największą jego chorobą to upośledzenie i upadek kobiety. Kobieta tylko chrześcijańska może przynieść lekarstwo na te straszne rany. Prawda, w Turcyi dzisiejszej żyją miliony chrześcijan, ale chrześcijan zarażonych schizmą, która nietylko że nie podniosła niewiasty muzułmańskiej, ale owszem sprowadziła upadek także kobiety chrześcijańskiej. Wschód sam sobie poradzić nie mógł w ciężkim tym paroksyzmie, w jakim zostaje od wieków. Wiemy, że wszelka reforma wychodzi zazwyczaj z warstw inteligentnych wyższych, tymczasem w Turcyi kobieta ze sfer wysokich daleko w gorszem znajduje się położeniu, aniżeli kobieta z ludu. W szerokich warstwach ludowych wielożeństwo nie mogło się na stałe rozwinąć; bieda, w jakiej pogrążony jest lud na wschodzie, nie pozwala na kosztowny zbytek kilku żon. Lud więc żyje w jednożeństwie, które nie pozwala na stanowczy rozdział kobiety od męża; wspólna praca małżonków nad wychowaniem dzieci, zbliża ich do siebie, uczy wzajemnego szacunku, miłości i zarazem uszlachetnia. Tak jednak nie jest w sferach bogatszych; tam szeroko rozwinęło się wielożeństwo, ten rak toczący zdrowy organizm ludów wschodnich. Możemy śmiało powiedzieć, że to jest najgłówniejszą przyczyną tak rychłego upadku dzielnego niegdyś ludu Otomanów. Kobieta w tych warstwach żyje w haremie, który chińskim murem odcina ją od życia i pracy społecznej. Do ha-

remu, jak wiadomo, nikt nie ma przystępu prócz eunuchów, ale nie wolno się jej oddawać żadnej pracy ani fizycznej ani umysłowej. Kobieta przez całe swe życie zostaje w tej atmosferze ciemnej, dusznej i pełnej zgnilizny, często w czternastym roku życia wyprowadzają ją z haremu matki do haremu jej męża i pana, całymi dniami oddaje się bezczynności, siedząc lub leżąc na miękkich dywanach salonów, albo przebywa całemi godzinami w publicznych łaźniach, gdzie się styka z podobnemi do siebie niewiastami. Rozumie się, że niewiasta taka nie potrafi wychować dzieci, szczęściem całem dla synów rodziny jest, że się już od wczesnej młodości wydostają z pod opieki takiej matki, córki natomiast całe życie marnieją w tem otoczeniu; wobec tego nic dziwnego, że kobieta turecka jest aż do głupoty naiwna, zepsuta i rozwiozła, jak źle wychowane dziecko.

Z pociechą możemy skonstatować dzisiaj, że już wogóle na wschodzie zaczynają rozumieć nieszczęśliwy los kobiety; nie da się zaprzeczyć, że nowy ten ruch zawdzięczamy cywilizacyi europejskiej, która coraz głębiej wnika w społeczeństwo wschodnie, ale możemy także skonstatować fakt, że wzór, jaki ze siebie dają niewiasty katolickie, sprowadził nowy ten ferment. Nigdzie może Siostra Miłosierdzia i wogóle zakonnica nie cieszy się tak wielkim szacunkiem, jak na wschodzie. Jej poświęcenie, praca, zaparcie samej siebie, szpitale, szkoły, schroniska dla sierót i podrzutków, słowem dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego, pokazały zdumiałym oczom ludów wschodnich, czego potrafi dokonać niewiasta chrześcijańska. Przykład dany przez zakonnicę chrześcijańską szczególnie uzdrawiająco działa na kobietę turecką, zjawienie jej jest jak powiew wiatru wiosennego, ożywiającego te zmarniałe serca. Nieraz opowiadają Siostry, jak prędko kobiety tureckie się do nich przywiązują, za największe szczęście poczytują sobie przebywanie w ich domach; zdarzało się, że nawet córki książęce nie chciały zamieniać ubogiego mieszkania Sióstr na pałace królewskie. Jeżeli na wschodzie podziwiamy wielką działal-

ność zgromadzeń męskich, to słów nie znajdujemy na podniesienie prac licznych zgromadzeń żeńskich tam się poświęcających. Siostry wywierają prawdziwy urok na wszystkich, do tego stopnia, że nawet zajęcia, które u nas wykonują mężczyźni, a któremi tam zajmują się Siostry, nie wywołują najmniejszego zdziwienia. Mieliśmy nieraz sposobność oglądać, jak Siostry prowadzą nie tylko kuźnie, stolarnie, warsztaty ślusarskie, lecz nawet zauważyłem, jak Siostra była kapelmistrzem orkiestry, złożonej z wąsatych muzykantów. Dzisiaj na wschodzie Siostry wszędzie mają przystęp, mogą nawet bez najmniejszej przeszkody wchodzić do najświętszych meczetów, które inni tylko za osobnem pozwoleniem mogą zwiedzać.

Bawiąc przez cały rok na wschodzie, mogłem się niejednokrotnie przypatrzeć zbożnej pracy licznych zgromadzeń religijnych, naturalnie interesowały mię najwięcej obie rodziny św. Wincentego a Paulo. W Konstantynopolu co prawda bawiłem zaledwo parę dni, nie mogłem przeto poznać tak dokładnie pracy naszych Sióstr; jednakże to, co widziałem, było dla mnie tak wzruszającem, iż nieraz z serca dziękowałem Bogu, że mam szczęście należeć do rodziny św. Wincentego, która choć w cichości, wszelako dużo dobrego działa, co może nigdzie więcej nie daje się odczuć, jak właśnie na wschodzie. Nie myślę tutaj rozwijać przed czytelnikami całkowitego obrazu działalności naszych Sióstr, chciałbym jednak choć w krótkich rysach wskazać, jak ona jest wydatną i pożyteczną. Pierwszy, który sprowadził Siostry do Konstantynopola jest, tak często już wspomniany przez nas, ks. Leleu. — Było to w roku 1839. Dwie panie bardzo w podeszłym wieku, pp. Opperman i Tournier, pragnęły wstąpić do zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Przełożeni wszakże nie chcieli ich przyjąć, chyba pod warunkiem, że wykażą nadzwyczajnymi dowodami prawdziwość swego powołania. Wtenczas obie bohaterskie dusze, postanowiły wyruszyć na wschód do Konstantynopola, i tam założyć pierwszą szkołę dla dziewcząt. Pan Bóg tak błogosławił ich po-

święceniu, że już po roku przysłano im do pomocy z Paryża dwie inne Siostry celem prowadzenia szkoły założonej wśród nadzwyczajnej trudności. Taki jest początek domu Sióstr „la Providence“ na Galacie. Stał się on domem macierzystym wszystkich zakładów Sióstr Miłosierdzia na wschodzie; stąd rozeszły się Siostry po Małej Azyi, Macedonii, Egipcie, Syryi, a nawet po Persyi. Siostry obok szkół, których dzisiaj w Konstantynopolu mają kilkanaście, otworzyły szpital i ambulatoryum dla przychodnich chorych. Już w roku 1845 zgłaszało się tu blizko sto tysięcy chorych po pierwszą pomoc. Szczególniej błogą działalność rozwinęły Siostry w czasie wojny krymskiej. W roku 1855 z bohaterskiem poświęceniem pielęgnowały dotkniętych morowem powietrzem francuskich żołnierzy w Pireus, kiedy zaś ustała cholera w Grecyi, przeniosły swoje ambulatorya na pole walki do Warny; a wszystkie swoje domy w Konstantynopolu otwarły na oścież dla rannych żołnierzy francuskich, angielskich i rosyjskich. Ówczesny sułtan Abdul Medżid ofiarował nawet jeden ze swoich pałaców na ambulans dla naszych Sióstr, wtenczas ogółem 50 tysięcy rannych i chorych znajdowało się pod ich troskliwą opieką w Konstantynopolu. Wszystkie rządy z największem uznaniem wyrażały się też o ich działalności, a kiedy rząd francuski i turecki chciał pokorne córki św. Wincentego udekorować różnemi odznaczeniami, prosiły, jak o największą łaskę, aby im raczej dano sposobność do jeszcze większego poświęcenia. Owocem też tej doniosłej działalności Sióstr w Konstantynopolu jest dom tak zwany „Hôpital de la Paix“, otwarty z okazyi szczęśliwego zakończenia wojny krymskiej. Sułtan ofiarował Siostrom na ten cel 50 tysięcy franków i wielkie terytoryum w dzielnicy Ferekeui, położonej na najwyższym punkcie Pery, z widokiem cudownym na Bosfor, Skutari i morze Marmara, rząd francuski zaś dał całe urządzenie wewnętrzne na 300 łóżek. Ponieważ cała administracya tego domu leży w rękach Siostrzyńskich, bo jest ich własnością, przeto mogły tutaj rozwinąć swobodnie i doskonale swoją pracę. Po-

dobnie urządzonych domów, jak szpital de la Paix spotkamy później jeszcze wiele na wschodzie, jak n. p. w Bejrucie i Jeruzalem; umiały w nich Siostry skupić pod jednym dachem wszystkie dzieła miłosierdzia. W domu de la Paix jest duży pawilon dla obłąkanych, wielki dom sierót, a przedewszystkiem tak zwane *métiers* i *écoles*. Oddział *métiers* ma za cel przyswoić sierotom wszelkiego rodzaju rzemiosła, aby w późniejszem życiu same mogły zarabiać na kawałek chleba. Administracya tego zakładu jest tak znakomitą, że sieroty otrzymują tutaj nie tylko wychowanie chrześcijańskie, ale pracą swoich rąk przyczyniają się w głównej mierze do utrzymania całej tej instytucyi.

Obok tych zakładów największych, prowadzą Siostry jeszcze szpital francuski na Taxim, zatem w dzielnicy, gdzie w ostatnich dniach rozegrała się jedna z najkrwawszych walk między wojskami młodotureckiemi i sułtańskiemi. Administracyę tego szpitala, ma rząd francuski. Przyznać trzeba, że ambasadorowie francuscy wielką zawsze przychylnością otaczają dzieła Sióstr naszych na wschodzie. Żony ambasadorów francuskich są zazwyczaj najgorliwszymi członkami stowarzyszenia „Pań miłosierdzia". Pani Constans, żona ambasadora w Stambule, zmarła przed kilku laty, wydała na cele miłosierne nie mniej jak 120 tysięcy franków. Rząd turecki również oddaje w opiekę niektóre szpitale naszym Siostrom. W czasie cholery roku 1864 otworzył zarząd manipulacyjny Pery i Galaty ambulans dla cholerycznych, który powierzył naszym Siostrom. Zakład ten istnieje jeszcze dzisiaj pod nazwą „hôpital municipal". Ogółem dwa tysiące dzieci wychowuje się w zakładach naszych Sióstr w Bebek, Skutari i Brussa, poświęconych wychowywaniu sierót i szkołom.

6. *Stowarzyszenia św. Wincentego w Carogrodzie.*

Rodziny św. Wincentego w Konstantynopolu nie tylko same pielęgnują wszelkiego rodzaju dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego, lecz idąc za wzorem naszego świętego Założyciela, wprzęgają w tę pracę także szerokie koła katolickiej

inteligencyi Carogrodu. Z inicyatywy Księży Misyonarzy i Sióstr powstały stowarzyszenia Pań miłosierdzia i Konferencyi św. Wincentego znajdujące się, jak widzimy z najnowszych statystyk, w kwitnącym stanie. Szczególniej stowarzyszenie Pań miłosierdzia bardzo pięknie się rozwija, pobudkę do złożenia pierwszego stowarzyszenia w Konstantynopolu dał jeszcze ks. Leleu, niezmordowany apostoł Carogrodu, i Siostra Lesueur, która później tak bohatersko poświęcała się w czasie wojny krymskiej. W roku 1842 założono przy domu „la Providence" biuro miłosierdzia: „petit bureau de charité" [1]).

Pierwsze zebranie odbyło się dnia 11. lutego 1843 roku, gdzie złożono składki 2.018 piastrów. W roku 1852 ks. Gamba, superyor domu St. Bénoit, założył drugie stowarzyszenie Pań miłosierdzia, w tymże samym roku zawiązało się trzecie stowarzyszenie pod wezwaniem Matki Bożej na Perze. Aby mieć pojęcie o doniosłości tych stowarzyszeń pań i o ich rozwoju, pozwolę sobie podać statystykę ich dzieł. I tak w roku 1868 wzrosły dochody do 60 tysięcy piastrów, a już 8 lat później w roku 1876 doszły do potężnej liczby 324.726 piastrów czyli blizko 60 tysięcy franków. Panie konstantynopolitańskie nie tylko swem mieniem, ale także osobiście czynny brały udział w pielęgnowaniu i odwiedzaniu chorych; od roku 1878—1905 wykazują sprawozdania po 6—8 tysięcy wizyt na rok. W późniejszych latach gorliwość ta się nie zmniejszyła, jak czytamy w ich Rocznikach. W roku 1898 zebrały panie francuskie w Stambule 50 tysięcy franków [2]). Stowarzyszenia Pań miłosierdzia istnieją w Konstantynopolu przy dziewięciu domach naszych Sióstr. Statystyka z roku 1905 także wykazuje 40 tysięcy franków dochodu, z których utrzymywano 620 biednych, zapłacono 2.613 dni pobytu w szpitalu i 100 ubogim dzieciom dawano obiady i kolacye. Podobnie zbożną działalność roz-

---

[1]) Annales de la Mission z roku 1878, t. XLIII., str. 230.

[2]) Annales des dames de la Charité, z roku 1898, str. 121.

wijają w Konstantynopolu także męskie konferencye. Pierwszą konferencyę w Stambule założył jeszcze Eugeniusz Boré. W latach późniejszych powstały jeszcze trzy inne konferencye, między innemi powstała konferencya aspirantów w kolegium św. Benedykta, do której należeli uczniowie naszych konfratrów, którzy już zawczasu zaprawiali się do dzieł miłosierdzia i składali drobne swe jałmużny dla biednych.

Za zbyteczne uważamy wspominać o pracy duszpasterskiej naszych konfratrów carogrodzkich. Kościołek ich przy St. Bénoit jest najstarszy ze wszystkich świątyń na Galacie, to też tutaj gromadzi się co niedziela i święto dużo wiernych, którym konfratrzy chętnie łamią chleb słowa Bożego i to nie tylko w języku francuskim, ale także w greckim i włoskim wygłaszają nauki, a zanim przybyli do Stambułu niemieccy konfratrzy, także po niemiecku głosili co niedzielę słowo Boże. Wobec tego nie dziwimy się też, że Pan Bóg tak widocznie błogosławi pracy naszych konfratrów, a św. Wincenty z radością patrzy z nieba na swoich synów, którzy tak gorliwie naśladują wzór jego. Ile zaś dobrego uczynili konfratrzy z kolegium św. Benedykta dla Bułgarów w Macedonii, nie tu miejsce opowiadać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Wilhelm Michalski.

Macedonia.

Coraz piękniej rozwija się praca naszych konfratrów oraz SS. Miłosierdzia w pośród Bułgarów w Macedonii. Cavalla, Monastyr, Saloniki i Zeitenlik, to cztery domy księży Misyonarzy, z których pracę swą roztaczają na całą misyę bułgarską. Siostry pracują obecnie w trzech domach. Zamieszczamy o tej działalności następujące szczegóły, głównie na podstawie francuskich *Annales* (z r. 1909, Nr. 1. i 2.).

„Niema już też w Macedonii, czytamy w sprawozdaniu z dnia 18. stycznia, tych ciągłych morderstw, które trapiły nieszczęśliwy ten kraj. Turcy ze swej strony okazują trochę więcej sprawiedliwości i poszanowania dla chrześcijan. Jaki będzie ostateczny wynik tego wszystkiego? Prawdopodobnie parlament nie zgodzi się na wszystko, czego po nim wymagają, pozostaną jednakże ulepszenia już wprowadzone, nie wróci już despotyzm i te niebezpieczeństwa, wśród których dotychczas żyli biedni mieszkańcy Macedonii. Czy z tych zmian wyniknie jakie dobro dla naszych misyi, w tej chwili jeszcze na to odpowiedzieć nie można; może owszem w miarę, jak Turcya zacznie sama w siebie wchodzić, nasze trudności się zwiększą. Tymczasem pracujemy całem sercem nad naszemi dziełami. W seminaryum mamy 56 uczniów. Z tych jeden otrzymał w grudniu z. r. święcenie kapłańskie, drugi otrzyma je w maju b. r. Mamy jednego kleryka na drugim roku filozofii, 46 uczniów w niższych klasach, a siedmiu uczy się rozmaitych rzemiosł. Wszyscy ci uczniowie są zupełnie na naszem utrzymaniu, nawet odzieży musimy im dostarczać i to właśnie czyni to dzieło tak uciążliwem dla naszej misyi, zwłaszcza, że i owych 56 seminarzystów jest także bezpłatnych. Obok tego niepokoje polityczne, nieurodzaj trwający

już od lat dwóch, wywołały straszną drożyznę, a w naszych dochodach nie zaszła niestety żadna zmiana na lepsze. Od chwili ogłoszenia konstytucyi, wskutek strejków w Salonice uzyskali robotnicy znaczne podwyższenia płacy dochodzące nawet do 40 i 50%. I z tej więc strony coraz większe wydatki.

Nie oglądając się na to, obracamy wszystkie nasze troski na seminaryum, jest to nasze najważniejsze dzieło, od niego zależy powodzenie całej misyi. Jednym sposobem utrzymania wsi w duchu naprawdę katolickim jest dostarczyć im dobrych kapłanów, bo lud zawsze będzie się trzymał tej religii, co jego przewodnicy duchowni. Spory teologiczne, różnice między prawdą a fałszem, to wyższe nad jego pojęcie; oczy jego zwrócone są ciągle na księży, jeżeli więc ci są szczerze katolickim przejęci duchem, to i lud będzie takim, bo pasterz jest pierwowzorem swej trzody. Dodać należy, że gdy dobrzy będą kapłani, dbać będą o większe wykształcenie ludu i kłaść będą większą wagę na praktyki religijne. W rzeczy samej odszczepieństwo nie jest żadną religią; przez długi szereg wieków schizmatycy stracili wszystko, pozostał im tylko martwy obrządek i tradycye chrześcijańskie pomieszane z zabobonami i przesądami.

W przeszłym roku z powodu przewrotów politycznych nie mogliśmy urządzić rekolekcyi dla duchownych dało się to bardzo odczuć w dalszym ciągu. Postaramy się wynagrodzić to obecnie, urządzimy ćwiczenia duchowne po drugiej niedzieli postu. Wszyscy popi katoliccy są obowiązani w dwu grupach przybyć na te rekolekcye do seminaryum, ale podróż jakoteż utrzymanie w czasie rekolekcyi płacą się z naszej kieszeni. Dawaliśmy też nadal misye po wsiach, było ich cztery w ciągu zeszłego roku i dobrze się nam udały. Więcej trudno nam było urządzać, bo we wschodnim Kościele jest zwyczaj przyjmowania Komunii św. tylko w czasie postu przed wielkiemi świętami, to jest przed Bożem Narodzeniem i Wielkanocą, musimy się więc do tego zastosować, żeby się nie narazić przyjętym zwyczajom.

Daliśmy dwie misye przed Bożem Narodzeniem i dwie przed Wielkanocą. Zaraz od pierwszego tygodnia Wielkiego postu rozpoczniemy je na nowo. Na te misye udaje się zwykle trzech księży i jeden brat dla posługiwania księżom.

We wrześniu 1908 udało nam się wreszcie otworzyć nowy dom Sióstr Miłosierdzia w Yenidże-Vardar. Dzięki erze wolności stworzonej przez konstytucyę nie napotkaliśmy w tem przedsięwzięciu na żadne trudności, a ludność przyjęła Siostry z radością. Jest ich cztery na początek; dwie do apteki i sali opatrunkowej, a dwie do szkoły bułgarskiej. Ponieważ Słowiankom łatwiej się nauczyć języka bułgarskiego poprosiliśmy o dwie Siostry z Gracu; mamy nadzieję, że za kilka miesięcy z pomocą swego ojczystego języka wyuczą się bułgarskiego. Mieszkanie Sióstr jest bardzo nędzne, tak samo szkoła i apteka, ale pocieszamy się nadzieją, że Bóg dobry, który nam pozwolił doprowadzić do skutku tę fundacyę, będzie i nadal wspierał nas Swą miłosierną pomocą. To już bardzo wiele, że się udało w tym roku ten dom otworzyć, bo każda fundacya jest rzeczą trudną i kosztowną, a ta jeszcze całkiem na naszych tylko wspiera się środkach. — W Yenidże-Vardar jest 140 katolickich rodzin bułgarskich, ale spodziewamy się, że dzięki dobroczynnemu wpływowi Sióstr, liczba ich prędko się znacznie podniesie.

Zajmujemy się jeszcze różnemi innemi dziełami miłosiernemi. Podczas nieszczęść, które w ostatnich latach nawiedziły Macedonię, staraliśmy się być opatrznością dla nieszczęśliwych; na wszystkie strony szukaliśmy dla nich pomocy. Wpływem swym u władz tureckich broniliśmy tych, których niewinnie oskarżano. Utrzymywaliśmy w szpitalu w Salonice jedno łóżko dla biednych chorych Bułgarów, a jeżeli gdzieś się zdarzył pożar, rzeź, lub inne jakie nieszczęście, biegnęliśmy z pociechą i pomocą.

Wiele czasu zabiera księżom dyrekcya Sióstr Miłosierdzia, które obecnie mają trzy domy w Macedonii: 1. *Zeitenlik*, dom sierót dla chłopców i żłóbek dla podrzutków. 2. *Kukusz*, domy sierót dla chłopców i dla dziewcząt; szkoła buł-



Kukusz (Avrat Hissar) w Macedonii. — Ogólny widok.

garska, do której uczęszcza przeszło 200 dziewczynek; szwalnia, rozdawanie lekarstw i opatrunków, z którego korzysta przeciętnie do ośmdziesięciu osób dziennie i odwiedzanie chorych w mieście i po wsiach. 3. *Yenidże-Vardar*, szkoła bułgarska i rozdawanie lekarstw!“

Siostry w Yenidże-Vardar.

O założeniu domu Sióstr w Yenidże-Vardar czyli w Janicy, miasteczku macedońskiem na zachód od Saloniki w drodze do Monastyru położonem, pisał ks. Gustaw Michel z Zeitenliku w październiku 1908:

„Od miesiąca pracują SS. Miłosierdzia w Yenidże-Vardar, mieście położonem niemal na miejscu starożytnej Peli, ojczyzny Aleksandra Wielkiego. Rozmyślając o tej nowej fundacyi przechodziłem w duchu wszystkie tak liczne zakłady powstałe tu na wschodzie w ostatnich pięćdziesięciu latach i błogosławiłem tej Opatrzności, która się posługuje dziećmi św. Wincentego dla ożywienia miłości chrześcijańskiej w tych okolicach, które przebiegał niegdyś św. Paweł Apostoł.

W Yenidże-Vardar czekano już dawno z upragnieniem na SS. Miłosierdzia, bo chodzi o to, żeby duch chrześcijański bardziej przeniknął te okolice, których lud zachował dotychczas głęboką prostotę obyczajów. — Misyonarze mogą mieć wielki wpływ przez swą działalność. Pozostaje jednak dużo jeszcze rzeczy, do których koniecznie potrzebna praca SS. Miłosierdzia. Chodzi głównie o pracę nad wychowaniem dziewcząt. Jak na całym wschodzie, tak i w Macedonii, położenie kobiety jest pod każdym względem opłakane. Od wczesnej młodości jest jedynie sługą w domu, używaną do najuciążliwszych prac i posług; taką też pozostaje na całe życie. Szkoła była dla nich dawniej całkiem zamknięta. A choć w ostatnich czasach zmieniło się to nieco na lepsze, nie zmieniło się położenie samo. — Najsmutniej jest pod względem religijnym. Od czternastego lub piętnastego roku życia aż do zamążpójścia nie wolno dziewczynie chodzić do kościoła, poza Bożem Narodzeniem, Wielkanocą i świętem Pa-



Kaplica i zakłady Sióstr Miłosierdzia w Kukusz.

trona wioski... A obecnie z nastaniem nowego politycznego porządku rzeczy, po wprowadzeniu liberalnych pojęć oraz szkół bez współudziału duchownych, może się wszysko zmienić jeszcze na gorsze... Zaradzić lub zapobiedz temu, to zadanie SS. Miłosierdzia. To też główną ich troską na nowym posterunku jest, żeby młodzież po wyjściu ze szkoły przyciągnąć do siebie przez otwarcie dla nich pracowni w domu siostrzyńskim, żeby przez ciągłą styczność z Siostrami zachować w nich to, co się zrobiło w latach nauki szkolnej. Tak postąpiły sobie Siostry w Kukusz, tak robią w Yenidże-Vardar. I słusznie, bo tylko od wychowania prawdziwie chrześcijańskiego przyszłych matek rodzin bułgarskich zależy pomyślna przyszłość wiary i Kościoła w Macedonii. — Pierwsza praca to nauka w szkole, a nadto otwarcie sali na rozdawanie lekarstw. Zaledwo to początek, a praca tak się powiększyła, że trudno Siostrom podołać".

Siostry Eucharystynki.

Misyonarze nasi zajmują się oprócz tego jeszcze kierownictwem zgromadzenia zakonnego, znanego pod nazwą *Sióstr Eucharystynek*, a których założycielem jest jeden z Misyonarzy, ks. Alloatti. On to co dwa tygodnie objeżdża wszystkie ich domy, spowiada je, przewodniczy całej ich działalności i zajmuje się ich dyrekcyą zakonną.

Ks. Alloatti, rodem z Włoch, przysłany przez Przełożonych jako Misyonarz na wschód do Macedonii, tak głęboko uczuł się wzruszonym na widok ciemnoty religijnej, w jakiej byli biedni Bułgarzy, że zapragnął uczynić wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy, aby ich z tego smutnego położenia wyrwać. Gorąca jego dusza nie zawahała się przed żadną ofiarą, żeby tem bliżej złączyć się z ukochanymi uczniami. Postanowił przyjąć obrządek wschodni i na wzór Boskiego Mistrza własnym przykładem im przyświecać. Otrzymawszy pozwolenie O. Generała, przyjął obrządek bułgarski. Ale i to jeszcze nie dosyć było dla tego gorącego serca. Pisze on do swojej siostry, która po śmierci rodziców mieszkała



Dom Sióstr Miłosierdzia w Kukusz (od frontu).

Nabożeństwo do Męki Pańskiej w obydwóch Rodzinach św. Wincentego. [1]

Liczne zakony i Zgromadzenia w kościele Chrystusowym różnią się między sobą przedewszystkiem swym celem i przeznaczeniem, dla którego powstały. Lecz niektóre z nich odznaczają się nadto szczególniejszemi łaskami bożemi i przywilejami, mają pewne, właściwe, sobie powierzone nabożeństwa. Jak n. p. zakon OO. Karmelitów chlubi się szkaplerzem Karmelitańskiem i jego cześć rozszerza; zakon OO. Dominikanów czci Matkę Boską szczególniejszem nabożeństwem Różańca świętego, który ich Założyciel z rąk Najśw. Maryi Panny odebrał; zakonowi Nawiedzenia Najśw. Panny powierzył Pan Jezus nabożeństwo do Najśw. Serca Swego, które OO. Jezuici tak gorliwie rozszerzają. Nasunęło mi się więc pytanie, czy Pan Bóg, lub Najśw. Panna, nie powierzyła pokornemu słudze, św. Wincentemu i Jego duchownej Rodzinie jakiej szczególniejszej łaski, jakiego szczególniejszego nabożeństwa do uczczenia i do rozszerzania między wiernymi. Tak jest, Pan Bóg i Najśw. Marya Panna obrali i zaszczycili Rodziny św. Wincentego szczególniejszemi łaskami i przywilejami. Bóg obrał je i pragnie tego, żeby, jako ów Anioł-Pocieszyciel w Ogrojcu, pocieszały Syna Jego Najmilszego w Jego cierpieniach i męce; Bóg powierzył im szczególniejsze

[1]) Pod tym tytułem otrzymujemy szereg uwag nad przedmiotem tak drogim dla dzieci św. Wincentego. Owoc to zapewne rozmyślań wielkopostnych Autora, kochającego znać gorąco wszystko, co się odnosi do Zgromadzenia. Nie bez zainteresowania i korzyści będzie podzielić się temi pięknemi myślami.

nabożeństwo do Bolesnej Męki Pana Jezusa. Oznaką zewnętrzną tego nabożeństwa, godłem niejako jego jest czerwony szkaplerz Męki Pańskiej. Królowa zaś Niebios, Niepokalana Dziewica, powierzyła Rodzinom św. Wincentego swój najdroższy przywilej, swą największą ozdobę Niepokalane Poczęcie, dała nam cudowny medalik Niepokalanego Poczęcia.

Na razie chciałbym wziąć pod rozwagę nabożeństwo do Męki Pańskiej w obydwóch Rodzinach św. Wincentego. Zamierzam pokrótce wspomnieć, gdzie początku tego nabożeństwa szukać należy, co o tem mówią nasze Reguły i Konstytucye, jakimi sposobami rozszerzali i rozszerzają nasi pobożni Konfratrzy cześć Pana Jezusa cierpiącego między wiernymi. Nie mając innych źródeł pod ręką, zestawię w jedną całość to, co już wszystkim jest dokładnie znanem.

1. Początków nabożeństwa do Męki Pańskiej szukać musimy w życiu naszego św. Ojca. On zawsze, w każdem położeniu, w każdej potrzebie, spoglądał na przykład Pana Jezusa; według tego boskiego wzoru postępował sam i pragnął, aby jego dzieci duchowe również Zbawiciela w swem życiu naśladowały. Dlatego też święty nasz Założyciel na początku każdego rozdziału Reguł wspólnych, przypomina przykład z życia Pana Jezusa. — Lecz w szczególniejszy sposób wziął sobie św. Wincenty za zasadę swego postępowania te słowa Zbawiciela: Kto nie nosi krzyża swego i nie idzie za mną, nie może być uczniem moim (Luc. XIV, 27). On gorąco pragnął, być wiernym uczniem swego boskiego Mistrza, dlatego też chętnie bierze swój krzyż i postępuje za Panem Jezusem drogą krzyżową. Czy mam przytaczać znane zdarzenia z życia naszego kochanego Ojca? Czyż od wczesnej młodości nie walczył on z przeszkodami i trudnościami, zadając sobie, swej naturze, gwałt na każdym kroku? Oto jako młody kapłan z cierpliwością znosi przez dwa lata przykrą niewolę w Tunisie, a wraca z niej wraz ze swym panem, renegatem, którego napowrót pozyskał dla Boga i nieba. Przez długie dziesięć lat znosi św. Wincenty

niesłuszne posądzenie o kradzież większej kwoty pieniędzy, którą zabrał kto inny. Cierpi długo, z poddaniem się woli bożej i w milczeniu, wzywając na świadka swej niewinności jedynie Pana Boga. Bóg zna prawdę, powtarzał. Taka była Jego obrona! Lecz ufność położona w Bogu nie zawiodła go, gdyż po dziesięciu latach złodziej, dręczony wyrzutami sumienia, przyznaje się do popełnionej kradzieży. A dobrowolna niewola, jaką przyjął na siebie, te więzy i kajdany, które na swych rękach i nogach nosił, nie sąż jawnym dowodem, najlepszem świadectwem, jak wiernym uczniem był św. Wincenty tego, który dla nas przyjął na siebie postać sługi? — Niektórym Świętym dał Pan Jezus dla tem większego podobieństwa do Siebie stygmata, ślady swej męki wyrył w ich ciele; podobnie i św. Wincentemu zostawił pamiątkę tej heroicznej miłości i ofiary na całe życie; świadczyć o niej miały cierpienia i rany w nogach, które zostały aż do śmierci. Wielką boleść sprawiały one Świętemu, zwłaszcza w ostatnich latach jego pobożnego życia.

Jak wielkiem umartwieniem wewnętrznem i panowaniem nad sobą odznaczał się święty nasz Założyciel, poznajemy najlepiej z tego, że zupełnie zmienił swój charakter. Z natury był usposobienia szorstkiego i ostrego, a w szkole Chrystusa nauczył się tak wielkiej łagodności, cichości i pokory, którą w nim podziwiamy.

Drogą przeto cierpienia i zaparcia się naśladował św. Wincenty w szczególności sposób Pana Jezusa cierpiącego; słusznie więc odzywamy się w litanii do niego: *Sancte Vincenti, carne et spiritu mortificate, — spiritu Christi vivens, — in adversis omnibus patientissime...*

Miłość ku Panu Jezusowi cierpiącemu prowadzi św. Wincentego jeszcze dalej. On widzi w bliźnich cierpiących materyalnie lub moralnie obraz cierpiącego Chrystusa i dlatego spieszy im z pomocą, pociesza ich i ociera im łzy, bo Prawda przedwieczna wyrzekła te pamiętne słowa: Zaprawdę powiadam Wam, cokolwiek uczyniliście

jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili (Mat. XXV, 40). Oto źródło wielkiego ku ubogim i nędzrarzom miłosierdzia u św. Wincentego.

„Z obfitości serca usta mówią“ — powiada Pan Jezus. Słowa te sprawdzają się i na św. Wincentym. Ukochał on w szczególniejszy sposób Pana Jezusa cierpiącego, naśladował Go w cierpieniach i często o Nim na konferencyach w gorących słowach przemawiał i zachęcał do naśladowania Go przez zaparcie się i ukochanie cierpień, krzyża; streścić można wszystko w tej przestrodze świętego Założyciela naszego: Biada tym, co unikają krzyża, bo na taki natrafią, co ich przygniecie!

2. Z zasady nie chciał święty nasz Ojciec przepisywać w regułach swym Rodzinom duchownym wielkich umartwień ani postów, bo sposób naszego życia, począwszy od rannego wstawania, jest już wielkiem umartwieniem. Jednakże powodowany wielką miłością do Pana Jezusa cierpiącego i Jego bolesnej męki, podaje w rozdziale X. Reguł wspólnych Zgromadzenia, między innemi ćwiczeniami pobożnemi także i niektóre umartwienia. Zaznacza zaś wyraźnie, że przepisuje je dla uczczenia Męki Pańskiej: *Ut aliquo modo Passionem Christi honoremus...* — ażebyśmy jakimkolwiek sposobem uszanowali Mękę Chrystusa (Reg. com. X, 16).

A jakież one są?

1) Odprawianie piątkowej kapituły: Co piątek każdy w obecności drugich wyzna winy swoje przed starszym, albo przed tym, który na miejscu jego zasiada, a to tak w domu jak i na misyach, i mile przyjmie przestrogi i pokuty, które mu dane będą (X, 13).

2) Umartwienie w pożywaniu kolacyi w dni piątkowe: Każdy w piątek każdego tygodnia będzie się kontentował jedną potrawką (X, 16).

3) Umartwienie ku czci Pana Jezusa znieważonego w czasie zapust: W poniedziałek i wtorek zapustny w domu mięsa jeść nie będziemy, abyśmy

tem maleńkiem umartwieniem Boga czcili wówczas, kiedy go prawie wszyscy chrześcijanie swoją rozwiozłością i obżarstwem ciężko obrażają (X, 17).

4) Przyklękanie przed Panem Jezusem ukrzyżowanym przy wychodzeniu lub wchodzeniu do pokoju: Wchodząc do izdebek domowych i wychodząc z nich przyklękać, abyśmy przed sprawą jaką wezwali Pana Boga a po niej Onemuż podziękowali (X, 20).

Podobne przepisy w Regułach wspólnych mają i Siostry Miłosierdzia.

Wchodząc w myśl św. Fundatora i trzymając się dawnych pobożnych praktyk, wykonujemy w dni piątkowe ku czci Męki Pańskiej i inne chwalebne ćwiczenia. I tak, w każdy piątek odprawiamy rozmyślanie o Męce Pana Jezusa, klerycy i bracia przystępują do Komunii św., którą ofiarują na cześć Męki Pańskiej. Pamiętam również piękny zwyczaj, którego braciszek kościelny starannie przestrzega przy naszym kościółku w Krakowie na Kleparzu, kiedy w piątek o 3 godz. po południu, na pamiątkę konania Pana Jezusa na krzyżu dzwoni — by ludzie uczcili umierającego Zbawcę i pomodlili się za konających. W piątki odprawiamy również drogę krzyżową, zwłaszcza we wielkim poście, i błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. Zazwyczaj w piątki zgromadzamy się także na wieczorne konferencye.

Tych ćwiczeń pobożnych ku czci Męki Pańskiej w piątki trzymają się obydwie Rodziny św. Wincentego.

Prócz Reguł obowiązują nas także Dekrety. Przypatrzmy się im choć pobieżnie, czy nie znajdziemy w nich wzmianki i zachęty do nabożeństwa do Męki Pańskiej. Owszem, dekrety polecają nam je gorąco jako najlepszy środek do przebłagania znieważonego Boga w obecnych czasach niewiary i zepsucia. Na konwencie bowiem generalnym w 1867 roku, na sesyi VII, zaproponował ówczesny przełożony generalny O. Etiénne szczególniejsze nabożeństwo do Męki Pańskiej,

w całej Kongregacyi, abyśmy w tak opłakanych czasach współcierpieli z Panem Jezusem obrażonym. — Konwent jednomyślnie, *unanimi plausu,* ten pobożny projekt przyjął i pochwalił, a dodał zarazem to życzenie: *Ideoque, in quantum fieri poterit, in nostris ecclesiis aut sacellis proprium altare huic sacratissimo cultui dedicari, necnon in missionibus et exercitiis spiritualibus praefatam devotionem magnopere commendari.* — Życzeniem więc i pragnieniem jest Konwentu generalnego XXII, żeby urządzać w naszych kościołach lub kaplicach ołtarz Męki Pańskiej, a na misyach i rekolekcyach gorliwie zachęcać wiernych do tegoż nabożeństwa. To polecenie konwentu jest zachowane. W kościele domu centralnego naszego Zgromadzenia w Paryżu istnieje osobna kaplica Męki Pańskiej, również w kościele naszym na Kleparzu w Krakowie znajduje się osobny ołtarz, poświęcony tej bolesnej tajemnicy. Na misyach zaś, — o ile mi wiadomo — poświęcenie krzyża, procesya i jego ustawienie, jako też kazanie Misyonarza z pod krzyża o Męce Pańskiej do wiernych, należy do najuroczystszych chwil całej Misyi. Wtedy Pan Jezus najgłośniej przemawia do serca, wtedy najwięcej okazuje się żalu za grzechy, wtedy najwięcej płynie łez, wtedy najwięcej odbywa się przemiany i nawróceń w sercu grzeszników, tam u stóp ukrzyżowanego Pana Jezusa. Nawet długie lata po misyach krzyż sterczący na cmentarzu, obok kościoła wiejskiego, jest dla dobrych i cnotliwych katolików zachętą do ochotnego znoszenia swych cierpień i krzyżów, a przestrogą i upomnieniem dla grzeszników, aby Pana swego ponownie nie znieważali i nie krzyżowali przez swe grzeszne i występne życie w swem sercu.

3. Znać podobają się Panu Bogu te pobożne praktyki i dobre chęci naszego „maluczkiego Zgromadzenia“, bo raczył niektórych jego członków zaszczycić szczególniejszem podobieństwem do Syna Swego Najmilszego w Jego męce i śmierci. Z nich dwóch już czcimy na ołtarzach jako Błogosławionych. Obydwaj, bł. Jan Gabryel Perboyre, (umęczony 11. września 1840 r.) i błogosł. Franciszek Regis Clet,

(18. lutego 1820 r.), umęczeni zostali w Chinach za wiarę w Pana Jezusa. W ich męce uderza nas to szczególniejsze podobieństwo do męki i śmierci Zbawiciela. Obydwaj zostali zdradzeni, zaprzedani niewiernym, obydwóch kilkakrotnie policzkowano i biczowano, obydwóch włóczono od sądu do sądu, dopóki nareszcie cesarz nie podpisał wyroku śmierci. Obydwaj umarli na krzyżu, gdzie ich powrozem uduszono. Bł. Jan Gabryel nawet został nie tylko zdradzony i wydany poganom, lecz zdrajca przyjął od nich za zdradę 30 uncyi srebra. Czyż one nam nie przypominają 30 srebrników judaszowych! Na śmierć postępował bł. Jan Gabryel boso, okryty szkarłatnym płaszczem, z rękami w tył związanemi, w nich tkwił długi pręt, na którego był wypisany wyrok śmierci. Czyż tu znów nie nasuwają się nam słowa Pisma św.: I włożyli nad głowę jego winę jego napisaną. (Mat. XXVII, 37). Umarł ten Błogosławiony nie tylko na krzyżu, jak Pan Jezus, ale w piątek o trzeciej godzinie po południu, w ten sam dzień, co nasz Boski Zbawca. Któż z nas w podobieństwie tych szczegółów do cierpień Pana Jezusa nie będzie podziwiał szczególniejszego z rządzenia bożego?

A także Siostry Miłosierdzia mają już wśród swych Towarzyszek męczenniczki. Niedawno doniosły nam *Roczniki* [1]) o sprawie beatyfikacyi Siostry Maryi Magdaleny Fontaine z Arras i trzech jej Towarzyszek, które w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej, dnia 26. czerwca 1794 roku, poniosły śmierć męczeńską dla wiary świętej. Przysługuje im już obecnie tytuł „Wielebnych“, a niezadługo może czcić je będziemy na ołtarzach, jako błogosławione i święte.

Szczególniejszą jeszcze łaską obdarzył Pan Jezus obydwie Rodziny św. Wincentego, powierzając im szkaplerz swej Bolesnej Męki do uczczenia i rozszerzania go między wiernymi [2]).

---

[1]) Zob. Nr. 3. z 1907 roku.

[2]) Por. broszurę: „Wiadomość o trzech szkaplerzach“.

Dnia 26. lipca 1846 roku w oktawę uroczystości św. Wincentego, objawił się Pan Jezus w czasie wieczornych modlitw świątobliwej Siostrze Miłosierdzia, Apolonii Andriveau, trzymając w prawej ręce szkarłatny szkaplerz. Na jednej stronie szkaplerza był wyrażony obraz Pana Jezusa ukrzyżowanego; u stóp krzyża znajdowały się narzędzia Jego męki; powyżej zaś otaczał krzyż napis: Święta męko Pana naszego Jezusa Chrystusa, zbaw nas. Na drugim końcu szkaplerza były przedstawione Najśw. Serca Jezusa i Maryi; sterczał z nich krzyż, a okalał napis: Najświętsze Serca Jezusa i Maryi, strzeżcie nas.

Kilkakrotnie później objawiał się swej wiernej słudze Pan Jezus, trzymając w ręce wspomniany szkaplerz. Razu pewnego rzekł do niej: Tyś powinna mnie pocieszać w boleściach Męki Mojej. — Dnia 14. września 1846 roku, w uroczystość podwyższenia św. Krzyża, objawił się znów Pan Jezus Siostrze Apolonii ze szkaplerzem w ręku i rzekł do niej: Ktokolwiek nosić będzie ten szkaplerz, dostąpi każdego piątku znacznego pomnożenia wiary, nadziei i miłości.

Z objawień tych widzimy, że Pan Jezus obrał Siostrę Apolonię za pośredniczkę między Sobą a duchową Rodziną św. Wincentego. Objawia jej Swe pragnienia i mówi niejako do każdego z nas: Tyś powinien mnie pocieszać w boleściach Męki Mojej. I dodaje tę pocieszającą obietnicę wzrostu w wierze, nadziei i miłości każdego piątku dla tych, którzy szkaplerz Męki Pańskiej nosić będą i rozszerzać między drugimi. W ostatnich czasach widzimy wielki zanik wiary, utratę nadziei i miłości, za to szerzy się w zastraszający sposób obojętność i oziębłość, niewiara, zwątpienie i rozpacz targająca sercami ludzkiemi. Najlepszym i najskuteczniejszym na to środkiem, który w objawieniu podał sam P. Jezus, jest wielkie nabożeństwo do Męki Pańskiej, noszenie szkaplerza tej bolesnej tajemnicy.

Niedługo potem Ojciec św. Pius IX. zatwierdził ten szkaplerz osobnym reskryptem z dnia 25. czerwca 1847 r.

i ubogacił licznymi odpustami; a wszystkich kapłanów Zgromadzenia naszego upoważnił do poświęcenia i rozdawania go wiernym.

4. Pobożne praktyki ku czci Pana Jezusa cierpiącego, przepisane nam przez Reguły i Dekrety, odnoszą się przedewszystkiem do nas samych, do każdego członka Zgromadzenia, lecz mamy nadto liczne sposoby i środki do rozszerzenia tego nabożeństwa między drugimi. Służą nam w tym celu różne bractwa i nabożeństwa kościelne.

Wspomnieć mi najpierw wypada o tem, co dla rozpowszechnienia nabożeństwa do Męki Pańskiej uczynili nasi dawni Konfratrzy. Krótką tylko uczynię wzmiankę o jednem takiem nabożeństwie, znanem, kochanem i rozpowszechnionem dziś wszędzie, w każdej nawet wiosce polskiej; mam na myśli Gorzkie żale.

Gorzkie żale opierają się na średniowiecznych mysteryach religijnych, w których przedstawiano różne momenty i sceny z Męki Zbawiciela. Że tak jest, widzimy to z treści i rozkładu tego nabożeństwa. W tej formie, w jakiej Gorzkie żale obecnie posiadamy, wydano je po raz pierwszy w roku 1707 pod tytułem: Snopek Miry, za staraniem ks. Wawrzyńca Benika, Misyonarza, kierownika bractwa św. Rocha, założonego przy kościele św. Krzyża we Warszawie. Ówczesny (1685—1710) wizytator księży Misyonarzy, ks. Bartłomiej Tarło, [1]) późniejszy biskup poznański (od 1710 r.), potwierdził to nabożeństwo i zaprowadził je uroczyście w kościele św. Krzyża. Władza duchowa chętnie udzieliła na nie

---

[1]) Pochodził z starożytnej, szlacheckiej rodziny polskiej, herbu Topor, która wydała wielu biskupów, wojewodów, kasztelanów i ludzi uczonych. Z niej pochodzili dostojnicy Kościoła jak: ks. Stanisław Tarło, biskup przemyski (1480—1544); Ks. Paweł Tarło, arcybiskup lwowski († 1565); Ks. Piotr Tarło, biskup poznański († 1722). Ks. Bartłomiej Tarło, Misyonarz, kształcił się w Rzymie i w Paryżu, gdzie wstąpił do naszego Zgromadzenia. Za powrotem do Polski pracował przez lat 25 jako misyonarz i Wizytator, a od 1710 roku jako biskup poznański; zmarł w 1716 r. jako wielce zasłużony dla Zgromadzenia i dyecezyi poznańskiej.

swej aprobaty. Niezadowoleni byli tylko OO. Dominikanie w Warszawie, którzy naprzeciw kościoła św. Krzyża mieli swój własny kościółek. Bali się zapewne o swe arcybractwo różańcowe, aby z powodu Gorzkich żali nie ucierpiało i nie upadło.

Uroczyście zaprowadzili i po raz pierwszy odprawili księża Misyonarze Gorzkie żale w swym kościele parafialnym u św. Krzyża w Warszawie. W tym celu zaprosili oficyała biskupiego, który w asystencyi ks. Wizytatora Tarły i licznego kleru je celebrował. Odtąd odprawiano je stale przez niedziele wielkopostne we wszystkich kościołach Zgromadzenia Księży Misyonarzy. W kilkunastu latach rozpowszechniły się one po całej Polsce. Zgromadzenie nasze miało wówczas liczne i ważne stanowiska wpływowe; w kilkunastu domach księża Konfratrzy wychowywali kler w seminaryach duchownych, udzielali licznych misyi i rekolekcyi; nadto ks. Wizytator Bartłomiej Tarło, zostawszy biskupem dyecezyi poznańskiej, nie zaniechał zapewne na tem stanowisku rozszerzać i popierać ukochanego nabożeństwa. Oto ważniejsze powody, środki, dla których księża Misyonarze w krótkim stosunkowo czasie rozpowszechnili Gorzkie żale w całej Polsce. Obecnie niema polskiej parafii, gdzieby nie znano i z przejęciem w wielkim poście nie śpiewano Gorzkich żalów.

Nie wiemy jednakże, kto był właściwym ich autorem, czy ks. Tarło, czy też który inny z Misyonarzy, ale w każdym razie musiał on znać dokładnie nasz lud, jego usposobienie, charakter, i umiał się do niego zastosować. To było zapewne powodem, że wszelkie późniejsze przeróbki i poprawki, czy udoskonalenia, nie mogły się jakoś między ludem przyjąć.

Zgromadzenie nasze — stosownie do Reguł i Dekretów — popiera i rozszerza między ludem bractwa, mające na celu uczczenie Męki Pańskiej. Do nich należą przedewszystkiem arcybractwo Konania Pana Jezusa i arcybractwo Najświętszego Oblicza. [1])

---

[1]) Szczegółowych wiadomości o powstaniu tych bractw, warunkach przyjęcia, obowiązkach i odpustach im udzielonych, można się dowiedzieć z broszurek specyalnych (do nabycia Kraków, Kleparz 19).

Arcybractwo Najświętszego Konania Pana Jezusa zostało kanonicznie zaprowadzone dnia 4. lutego 1896 roku w naszym kościółku na Kleparzu w Krakowie. Celem jego jest oddawanie szczególniejszej czci Panu Jezusowi konającemu w Ogrojcu i wyjednanie przez zasługi Jego Konania pokoju dla Kościoła, zachowanie wiary i powstrzymanie kar bożych, jako też łask potrzebnych konającym, zwłaszcza zatwardziałym grzesznikom.

Celem zaś arcybractwa Najśw. Oblicza Pana Jezusa jest godne uczczenie Oblicza Jezusowego, wyrażonego na chuście św. Weroniki. Relikwia ta znajduje się w kościele św. Piotra w Rzymie.

Koronka drogi krzyżowej, którą powierzył Pan Jezus swej pobożnej słudze, zakonnicy Ludwice Borgiotti, należy również do praktycznych, a skutecznych środków rozpowszechniania czci Męki Pańskiej między wiernymi. Zatwierdził ją papież Pius IX, nadając jej te same odpusty, jakie zyskać można przez odprawienie drogi krzyżowej przed stacyami. Na prośbę naszego Konfratra ks. Tasso, dawniej Asystenta Zgromadzenia, dziś biskupa Aosty we Włoszech, udzielił Ojciec święty Pius X, dnia 2. listopada 1906 roku władzę błogosławienia koronek drogi krzyżowej i nadawania odpustów stacyjnych wszystkim księżom naszego Zgromadzenia. Z udzielonej sobie władzy korzystają i wspomniane koronki, gorliwie rozszerzają nasi Konfratrzy, zwłaszcza w Krakowie.

Z pobieżnego przedstawienia nabożeństwa do Męki Pańskiej w obydwóch Rodzinach św. Wincentego widzimy, że pierwszem źródłem i największą pobudką do tego nabożeństwa dla nas to nasz św. Założyciel. Uczy on nas przykładem, swem cnotliwem życiem i słowem, w konferencyach, w Regułach, zachęca nas do ukochania i naśladowania w szczególniejszy sposób Jezusa i to ukrzyżowanego. Obydwie Rodziny starały się postępować za przykładem swego świętego Ojca, za to Pan Jezus niektóre jego dzieci obdarzył

swem szczególniejszem podobieństwem, koroną męczeńską, i powierzył im szkaplerz swej bolesnej Męki do rozszerzania. A święty Wincenty ustawicznie nas zachęca, zwłaszcza wśród ucisków, cierpień i krzyżów, przemawia i prosi słowy Apostoła narodów: Proszę was tedy, bądźcie naśladowcami moimi, jakom i ja Chrystusów. (1 Cor. IV, 16).

Ks. Józef Góral.

KRONIKA.

Madagaskar. — O pracy apostolskiej obydwu rodzin św. Wincentego wyjmujemy z *Misyi Katolickich* na maj r. b. następujące szczegóły, wraz z listem jednej z Sióstr Miłosierdzia:

Madagaskar jest powierzony duchownej pieczy trzech zgromadzeń, z których każde jedną część tej wielkiej wyspy ewangelizuje. Wikaryat apostolski środkowego Madagaskaru od roku 1850 został oddany działalności OO. Jezuitów; wikaryat apostolski Madagaskaru południowego powierzyła Stolica apostolska w r. 1896 księżom Misyonarzom; wreszcie w r. 1898 utworzono wikaryat apostolski północnego Madagaskaru, a ten powierzono Zgromadzeniu Ducha Św. i Niepokalanego Serca N. M. P.

W południowym Madagaskarze między Siostrami Miłosierdzia, które pomagają w pracy Misyonarzom, znajduje się Polka z Galicyi, Siostra Małgorzata. Tej właśnie Siostry list zamieszczamy poniżej.

Fort-Dauphin, 16. lutego 1909.

Już pięć lat minęło, jak Pan Bóg raczył mnie wysłać w te dalekie od kraju strony, gdzie mam szczęście brać mały udział w pracy ukochanych Sióstr naszych i księży Misyonarzy, którzy życie swe nawracaniu naszych półdzikich murzynów poświęcają.

Było to w r. 1896. Ks. biskup Crouzet wraz z czterema gorliwymi Misyonarzami przybyli po raz pierwszy do tego małego zakątka wyspy afrykańskiej, aby na nowo roz-

cząć przedsięwziętą pracę przez księży Misyonarzy za czasów św. Wincentego i którzy przeszło 300 lat temu padli męczennikami swego poświęcenia. Jeżeli od czasu tego raz po raz pokazał się tutaj jaki misyonarz, to tylko przejściowo, gdyż widocznie Pan Bóg chciał część tę winnicy Swojej znów dzieciom św. Wincentego powierzyć.

Łatwo sobie wystawić, ile trudu podjąć tym nowym robotnikom było trzeba, aby się jako tako osiedlić. Nasi biedni murzyni są tutaj traktowani przez białych z prawdziwą pogardą; stąd wynika, iż nie mają do nich najmniejszego przywiązania ni zaufania. Uczucia te zaś trzeba było koniecznie w sercach ich wzbudzić, chcąc dojść do zamierzonego celu. Ks. Biskup nie szukając większej wygody, utworzył sobie wśród nich z małej lichej murzyńskiej chaty swój biskupi pałac, który jeszcze do dzisiaj istnieje ze ścianami z falafów, liśćmi palmowymi pokryty. Tam to rozpoczęto dzieło ewangelizacyi, starając się zarazem, aby w najbliższym czasie małą misyę utworzyć. Nie było to łatwo, gdyż ziemia tutaj okryta cierniem i chwastem. Ks. Biskup daleki od zniechęcenia, dodawał otuchy swym współpracownikom więcej jeszcze przykładem, aniżeli słowami. Dzieło postępowało powoli, lecz zdawało się pewne. Nasi biedni murzyni wpierw trochę zdziwieni tem dobrem i prostem postępowaniem Ojców, powoli zdawali się do nich przywiązywać. Jak zaś przed ustawieniem budynku o dobrym fundamencie myśleć trzeba, tak też tem więcej należało to rozważyć, skoro o duchowny budynek chodzi. Zwrócono więc oczy na dzieci, aby uformować te młode serca jeszcze nie bardzo nasiąkłe duchem pogańskim i niemoralnym swych przodków. Po małem oporze zgodzili się wreszcie rodzice na to, żeby w ręce białych powierzyć swych synów. Było to jedyne pragnienie naszych księży Misyonarzy, gdyż na dzieciach tych spoczywa tutaj cała nadzieja przyszłego chrześcijaństwa, gdzie tyle tysięcy dusz brnie jeszcze w najgłębszej ciemności pogaństwa. Ufamy, że z pomocą Bożą to dobre nasienie, które się w te jędrne serca rzuca, przyniesie z czasem swój owoc.

Pan Bóg jednakowoż chciał, aby i Siostry Miłosierdzia miały swój udział w tem pięknem dziele, tak pomyślnie rozpoczętem. Pierwsze trzy Siostry miały szczęście po trzech miesiącach nawigacyi przybyć do Fort-Dauphin, 9. maja 1897 roku. Dotychczas liczba ta wzrosła do piętnastu, co wszakże jeszcze nie wystarcza, aby zadośćuczynić licznym potrzebom naszych biednych murzynów. Piętnastu zaś też tylko jest Misyonarzy do ewangelizacyi całej tej części Madagaskaru, która należy do dyecezyi ks. biskupa Crouzet'a. Jest to pole pracy ogromne, są nadto głosy ludu, które w potrzebach o serce jego się odbijają, szczególnie w czasach, kiedy szarańcza całe zasiewy ryżu niszczy.

My tutaj zwiedzamy okolice Fort-Dauphin, jak n. p. Soanerana, Andrianaro, Enosarivo, Lafitsinana i t. d. Wycieczki te, nie mają w sobie nic przyjemnego z powodu tych wązkich ścieżek, których niepodobna przebiedz bez kilkakrotnego rozdarcia sukni. Chcąc zaś przeprawić się przez częste rzeki i rzeczki, które w drodze napotykamy, musimy czasem i po dziesięć razy zdejmować obuwie, bo jeszcze o mostach nie pomyślano. Co zaś najniebezpieczniejsze, to to gorące słońce, które do samych wnętrzności przenika. Na to wszystko jednakowoż nie dużo się zważa, tak się człowiek czuje szczęśliwym, że może nieść ulgę tym biedakom. Kilka opatrunków ran, trochę lekarstwa i ryżu, jeżeli jesteś w stanie dać im tę jałmużnę, wystarcza im. Naszym zaś celem jest za pomocą tych środków materyalnych dojść do duszy. Zazwyczaj skoro do jakiej wioski przyjdziemy, ludzie nas ze wszystkich stron otoczą, z czego naturalnie korzystamy, aby powiedzieć słów kilka o Panu Bogu, o którym biedny ten lud najmniejszego nie ma jeszcze wyobrażenia. Ponieważ zaś lubią rzecz każdą zgłębić, zapytania do samej nocy nie skończyłyby się, a tu trzeba o powrocie myśleć. Pozostawia się więc ich miłe towarzystwo pod takiem dobrem wrażeniem z prośbą, aby Bóg raczył pobłogosławić ten mały zasiew w biedne dusze wrzucony, i dzięki Jego łasce, ta praca nie jest daremną.

Najgłówniejszem jednakowoż dziełem naszem jest wychowanie dzieci. Z początku bardzo mnie dziwił tutejszy sposób przyjmowania naszych dziewczynek. — Matka przyprowadzając córkę swą nie dosyć, iż nie troszczy się bynajmniej o koszt utrzymania dziecka, lecz widząc, że się Siostra jak najlepiej tą biedną istotką zajmuje, okrywając to czarne ciałko jak najprędzej jaką materyą, jeszcze wymaga, aby za trud, jaki miała, aby nam ją tutaj przyprowadzić, dać jej mały podarek. Przy odejściu, aby dziecku okazać dowód swej macierzyńskiej czułości, gryzie przez całe pięć minut jej małe paluszki, i kontrakt skończony.

Dzieci pozostają u nas aż do swego zamążpójścia, to jest do 12 lub 15 lat. W ciągu tego czasu wyuczą się dość dobrze czytać i pisać w klasie, a zwłaszcza religii, bo ta nauka oczywiście, jest rzeczą pierwszą, poczem pracują w szwalni, utrzymują westyarnię chłopców z misyi i swoją, jako też i bieliznę kościelną. Uczą się także prania i prasowania; w ostatnim czasie dołączono nawet robotę klockową i haft, do czego wcale nie źle się biorą. Każde z dzieci po wyjściu z domu, ma w ręku znajomość prac różnych, aby na skromne swe życie zapracować. Celem zaś naszym jest utworzyć dobre chrześcijańskie rodziny. Podczas tych kilku lat próby Bóg najlepszy nie zawiódł ufności, jakąśmy w Nim położyły, i mocną też mamy nadzieję, że nadal błogosławieństwa Swego nam nie odmówi.

Mamy też w domu żłóbek, w którym obecnie do 30 dzieci metysów (pół-białych) przez rodziców zaniedbanych się znajduje. Te maleńkie istotki, 150 naszych dziewcząt i 200 chłopców u Księży Misyonarzy (w Fort-Dauphin), oraz nasi biedni murzyni, nie mają doprawdy wielkich wymagań. Miseczka ryżu trzy razy dziennie, trochę mięsa, a w braku tego, cokolwiek manioku lub patatów (ziemniaków) im wystarczy; nie jest to dużo, a pomimo to ks. Biskup sam mając dostarczyć wszystkiego i wszystkim, nieraz jest w największym kłopocie, ażeby tym małym wymaganiom zadość uczynić.

Kapitał i dochody misyi naszej to: Opatrzność Boska! Osoby miłosierne zaś są tymi kanałami, przez które ta Opatrzność nam wspomożenie przesyła. Od czasu ostatnich nieszczęść we Francyi, jałmużny o wiele są rzadsze. Coby to za szkoda była, gdyby dzieło, które tak dużo na przyszłość obiecuje, zaniedbać było trzeba! Nasi zaś sąsiedzi, protestanci, każdej chwili są gotowi przyjmować wszystkich, co do nich zajrzeć tylko zechcą, a tam wszystkiego jest podostatkiem.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. — Poza zwykłą pracą i spełnianiem zwyczajnych obowiązków w domu, w kościele, w szpitalach czy w szkole, zajęci byli Konfratrzy, jak w poprzednich latach tak i w pierwszym kwartale roku bieżącego ratowaniem dusz na misyach i rekolekcyach. — Trzy serye rekolekcyi ludowych w dwójnasób powetowały zbyt szczupłą frekwencyę seryi z przed Nowego Roku. Na rekolekcye mężatek (11—15 stycznia) przybyło 500 kobiet, głównie z Kongresówki; chłopów (26—29 stycznia) było przeszło 650, a dziewcząt (1—5 lutego) około 450. Pracowali nad nimi przeważnie sami tylko nasi Konfratrzy z trzech domów krakowskich. Najcięższa była serya mężczyzn; z pokaźnej liczby sześciuset pięćdziesięciu większość była poraz pierwszy; wypadły nadto równocześnie rekolekcye SS. Miłosierdzia w domu Centralnym, a prócz tego tryduum odpustowe na Stradomiu. Mimo tych i innych trudności, płynących z zastarzałych nałogów pokutników, skończyła się praca z Bożą pomocą na czas. Na konkluzyę przybył Najprzew. ks. biskup Nowak, udzielił Sakr. Bierzmowania licznemu zastępowi rekolektantów, a w przepięknej, z nadzwyczajnym zapałem wygłoszonej przemowie, uderzył głównie na występek pijaństwa, wykazując rozliczne szkody i spustoszenie, na rodziny i parafie, na całe społeczeństwo stąd spadające. Słowa te znać trafiły do serc, bo wielka ta rzesza z niebywałem skupieniem i uwagą coraz bardziej rosnącą, wsłuchiwała się w słowa Arcypasterza,

a wzruszenie serdeczne niejednem objawiło się westchnieniem na ustach i niejedną łzą w oku.

Z początkiem lutego dali księża Truszkowski i Bieniasz dwie misye w dyecezyi krakowskiej, od 6. do 9. lutego w Graboszycach obok Zatora, od 9. do 14. lutego w Woźnikach przy Wadowicach. Nadto pracował ks. Truszkowski wraz z Konfratrami z innych domów prowincyi na jednej misyi w dyecezyi tarnowskiej i na drugiej wielkiej, na cztery stany, w Kamionce Strumiłowej, w archidyecezyi lwowskiej (14. do 28. marca). — Oprócz dwóch seryi ćwiczeń duchownych dla SS. Miłosierdzia na Kleparzu, a jednej we Lwowie, dawali Konfratrzy rezydujący w naszym domu rekolekcye w różnych stronach. I tak Przew. ks. Wizytator dawał od 4. do 7. marca rekolekcye w zakładzie SS. Miłosierdzia w Białym Kamieniu dla przeszło 400 osób; ks. Truszkowski w Poznaniu w kościele Bożego Ciała, od 7. do 11. marca; ks. Bieniasz dla Pań Miłosierdzia, w Poznaniu u św. Józefa, od 8. do 12. marca, oraz w Gostyniu, od 15. do 19. marca; ks. Ciopalski dla chorych w swej kapelanii u Helclów, od 7. do 13. marca; ks. Rzymełka w liceum p. Kaplińskiej dwie serye, dla pensyonarek od 9. do 12. marca, dla uczennic przychodnich od 3. do 6. kwietnia; ks. Weiss dla zakładu SS. Miłosierdzia w domu św. Stanisława, od 22. do 25. marca. — Urządzono nadto po raz pierwszy rekolekcye dla studentów naszej Sodalicyi maryańskiej w dniach 31. stycznia i 1. lutego. Przewodniczył ks. Dihm ze Stradomia, a uczestników było 26. Sodalisi ci budowali nas gorącą pobożnością i wielkiem przejęciem się. Tak samo po raz pierwszy odbyły się w dniach od 22. do 24. marca ćwiczenia duchowne dla bractw założonych przy naszym kościółku. Codzień z rana była nauka o godzinie 5, potem cicha msza św., wieczorem o $6^1/_4$ nauka druga, po niej błogosławieństwo Najśw. Sakramentu. Oprócz miejscowych członków bractw i wielu innych osób z poza stowarzyszeń, przybyło mnóstwo osób z bliższych i dalszych okolic, tak że kościół czasem był niemal przepełniony. Spowiedź św. w ostatnim dniu wieczorem przeciągnęła się poza

godzinę 9. Widać, że takie rekolekcye są u nas bardzo potrzebne.

Kaczyka. *List ks. Superyora Grabowskiego z 5. marca b. r.*

Podaję krótki opis pracy konfratrów naszego domu za r. 1908. — Zadanie nasze na południowej Bukowinie poza obowiązkami w parafii i na filiach polega przedewszystkiem na wspieraniu kleru świeckiego w pracy duszpasterskiej. Największa potrzeba tej pomocy daje się klerowi parafialnemu odczuwać w czasie wielkiego postu i odpustów. Dlatego też wcześnie już zgłaszają się księża proboszczowie z prośbą o pomoc do słuchania spowiedzi wielkanocnej i głoszenia nauk przygotowawczych do spowiedzi. W całej tutejszej okolicy są katolicy dosyć obojętni we wierze — dlatego też tam, gdzie mamy z pomocą zjechać, głoszą proboszczowie, że będzie misya, na którą wzywają parafian. Trzeba mieć zawsze kilka nauk rekolekcyjnych przygotowanych, ażeby lud módz przygotować do dobrego odprawienia spowiedzi i Komunii wielkanocnej. Jeszcześmy nie tak wprawni w głoszeniu nauk w języku niemieckim, ale jak potrzeba, musi się człek i na to zdobyć.

Pomagaliśmy w ciągu postu wielkiego w Jakobenach i wszystkich wioskach do tej parafli należących — w Dorna Watrze, Dorna Kandreni i w Kirlibabie. — Tam trzeba do każdego niemal katolika zajechać, aby tylko choć raz na rok ten obowiązek sumienia spełnił. Gdzie jest naszych Polaków choć mała garstka, to się do nich z ochotą głosi nauki w języku ojczystym. Nadto pomagaliśmy u ks. Dziekana w Radowcach i w sąsiednich parafiach, w Gurahumorze i Solce, wreszcie w Karlsbergu.

Drugim obowiązkiem naszym, to wyjeżdżanie z kazaniami na odpusty do wszystkich niemal parafii. I przy tej sposobności przygarniamy i zagrzewamy naszych Polaków, rozrzuconych wśród obcej narodowości i różnych religii, do wierności w wierze ojców i do zachowania języka ojczystego.

Nadto udzielaliśmy trzydniowych rekolekcyi w Pojana Mikuli, od 25. do 28. kwietnia. Wybraliśmy się tam wszyscy

trzej, parafię naszą pozostawiliśmy opiece księdza ruskiego. W r. 1903 odprawili tam misyę konfratrzy z naszego domu przy pomocy ks. Buchhorna. — Ciekawa to parafia. Połowa wsi polska, połowa niemiecka. Lud odznacza się pobożnością, ale jest też i wiele nałogów między nimi. Najwięcej biliśmy w kazaniach na pijaków i na niemoralność wśród młodzieży. Na nauki wszyscy chętnie uczęszczali, przystąpili też prawie wszyscy do spowiedzi i Komunii św. Pozatem głosiliśmy wraz z ks. Dziewiorem nauki rekolekcyjne po polsku w Suczawie, podczas tryduum przed odpustem na św. Jana Nepomucena.

Wreszcie dawaliśmy, ci sami dwaj, trzydniowe rekolekcye od 1. do 6. czerwca w parafii OO. Trynitarzy w Dunawcu i takież w Laurence, gdzieśmy parafian przysposabiali na wizytę kanoniczną do przyjęcia sakramentu Bierzmowania. Wyspowiadaliśmy tam w każdej wiosce po 250 osób.

Oprócz tego odprawiło 16 kapłanów z dekanatu rekolekcye swoje w Kaczyce, pod przewodnictwem ks. Rossmana od 12. do 14. sierpnia.

Czem Kaczyka jest dla Bukowiny, widzi się właściwie w dzień odpustu 15. sierpnia. To też nasze wysiłki zdążają do tego, by odpust ten jak najwspanialej urządzić. Cóż jednak mogą ludzkie zabiegi, jeżeli Bóg nie oświeci tego dnia pogodą? Ten rok był właśnie taki fatalny. Z początkiem wiosny aż do lipca ciągła pogoda, tak że się posucha bardzo dała we znaki; potem znowu nieustanne deszcze dokuczały wszystkim. Zbliża się odpust, a tu ciągła niepogoda. Już zwątpiłem, czy się odpust odbędzie, ale Matka Najświętsza cudowną pogodę uprosiła nam na sam dzień 15. sierpnia. Udział wiernych już nie był tak liczny, ale zawsze mogło być około 5000. Wyspowiadało się blizko trzy tysiące.

W wigilię odpustu urządziliśmy uroczysty wieczorek papieski z okazyi jubileuszu Ojca św. Nasamprzód odbył się korowód z pochodniami i lampionami przy towarzyszeniu kapeli salinarnej, potem były przemowy polskie, ruskie i niemieckie. Nazajutrz po odpuście, w niedzielę, odbyło się uroczyste nabożeństwo jubileuszowe. Sumę celebrował ks. Infułat

Schmid, kazanie wygłosił ks. Szymbor; w czasie sumy śpiewał prześlicznie chór, złożony z miejscowych sił, pod batutą ks. Wochowskiego.

Pod koniec roku 1908, w listopadzie wybraliśmy się z ks. Wochowskim na trzydniowe rekolekcye do Russ-Moldawicy, gdzie za staraniem tamtejszych katolików, piękną kaplicę wybudowano, a 15. listopada miało być poświęcenie. Jest tu także około 150 dusz polskich, zajętych przy traczce, Niemców także około 100, żyją jednak z Polakami w zgodzie. W czasie nabożeństwa śpiewają Niemcy z Polakami polskie pieśni, a nawzajem Polacy niemieckie z Niemcami.

Dekreta Stolicy św.

Przywilej dla prowincyi polskiej co do intencyi mszalnych.

Prośba:

Beatissime Pater!

Visitator Congregationis Missionis Provinciae Cracoviensis, ad pedes Sanctitatis Vestrae humillime provolutus, implorat prorogationem Rescripti, quo sibi et suis Confratribus eiusdem Provinciae facultas facta est ad triennium *differendi ad sex menses celebrationem Missarum manualium*, cum saepe contingat non posse eis satisfieri intra tempus statutum. Et Deus etc.

Reskrypt:

Vigore specialium facultatum a SSmo Domino Nostro concessarum, Sacra Congregatio Negotiis Religiosorum Sodalium praeposita, attenta attestatione P. Procuratoris Generalis Missionis, benigne commisłt P. Superiori Generali, ut enunciati indulti *prorogationem ad aliud triennium* pro suo arbitro et conscienta concedat, servata in reliquis eiusdem indulti forma et tenore. Contrariis quibuscunque non obstantibus.

Romae, 29. Martii 1909.

(L. S.).

Fr. I. C. Card. Vives
praefectus.
D. Janssens O. S. B.
secretarius.

Visum, ut executioni mandetur.

Parisiis, 2. Aprilis 1909. A. Fiat
Superior generalis.

Zmarli Misyonarze:

1. Ks. Wincenty Dupuy, 19. lutego w Monastyrze (prowincyi konstantynopolskiej), żył lat 64, w Zgromadzeniu 43.
2. Ks. Antoni Pignatelli, 18. lutego w Perugii (prow. rzymskiej), żył lat 70, w Zgromadzeniu 10.
3. Ks. Jędrzej Guida, 20. lutego w Brescii (Włochy), żył lat 67, w Zgromadzeniu 47.
4. Ks. Franciszek Fritsch, 28. lutego w Algierze, żył lat 61, w Zgromadzeniu 32.
5. Kler. Paweł Marcos, 3. marca w Madrycie, żył lat 28, w Zgromadzeniu 6.
6. Ks. Michał Pedros, 6. marca w Barcelonie, żył lat 66, w Zgromadzeniu 46.
7. Br. Dominik Piscopo, 14. marca w Neapolu, żył lat 65, w Zgromadzeniu 31.

R. I. P.